M. B.
im.
L. W.
w
Łodzi

W numerze: FELIKS BĄBOL Włókniarska rodzina • JAN KOPROWSKI Na przykład Resko • KAROL BADZIAK Jak ukraść milion? • EUGENIUSZ IWANICKI Święty z Łodzi Kaliskiej • ZDZISŁAW SZCZEPANIAK Marynarz z „Alcora" • Felietony • Recenzje • Nowela

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

16. VIII. 1970 r.
33 (665)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

Fot. A. RÓŻYCKI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Narodziny drugiego

Bohater filmowej komedii usiadł wygodnie w fotelu, postawił blisko siebie puszkę piwa i jedzenie. Do ręki wziął przenośny regulator i włączył telewizor. Na ekranie ukazała się skąpo ubrana piosenkarka, ale ledwie skończyła, zaczęły się reklamy, zmienił więc kanał i na ekranie pojawili się kawalerzyści w śmiertelnej szarży, na następnym nadawano znów reklamę, na dalszym wiadomości, a na kolejnym film kowbojski. Zgasił telewizor.

— Widziałeś — powiedział przyjaciel, z którym przy kawie oglądaliśmy film. — Żeby tak u nas można było przełączyć na drugi program.

— Poczekaj, będzie i u nas.

I stało się. Od 1 października tego roku w 4 dużych ośrodkach: Warszawie, Łodzi, Katowicach i Krakowie telewidzowie będą mieli do wyboru dwa programy rodzimej telewizji.

Z ŻYCZLIWOŚCIĄ

Starożytni zabraniali źle mówić o umarłych. Jak zatem trzeba mówić o nie narodzonym? Z nadzieją, życzliwością i radością, że już raczy przyjść. Można chyba się też dziwić. Więc bardzo zdziwiłem się, kiedy usłyszałem, że DRUGI można będzie oglądać tylko 5 razy w tygodniu. Jeszcze bardziej zdziwiłem się, kiedy dowiedziałem się, że będzie to 5 dni powszednich — bez soboty i niedzieli.

PIERWSZY pozostaje jak był — bez większych zmian. DRUGI — ma mieć charakter poważniejszy, z przewagą audycji oświatowych i naukowych. Nie zabraknie muzyki, teatru, filmu i rozrywki. Przyjęto dla niego zasadę cykliczności. Będą więc cykle oświatowe, nauka języków obcych: angielskiego, francuskiego i rosyjskiego oraz cykle audycji publicystycznych i naukowych.

Wiele uwagi poświęci się muzyce poważnej. Nagrania wybitnych kompozytorów i dyrygentów, dyskusje o muzyce oraz m. in. cykle: „Współczesne instrumentarium muzyczne" i „Z historii opery i operetki". Program pierwszy straci na rzecz DRUGIEGO spektakle Studia Współczesnego, Studia 63, Nowej Poezji Polskiej. Wspólny dla obu programów będzie dziennik telewizyjny, a ciekawsze audycje DRUGIEGO będą powtarzane później w programie pierwszym.

Niewątpliwie przydały się tutaj doświadczenia Polskiego Radia, które codziennie emituje trzy programy, a każdy jest adresowany do trochę innego odbiorcy, przy czym trzeci ma charakter programu literackiego, jest nieco trudniejszy w odbiorze i to nie tylko dlatego, że wiele odbiorników radiowych nie ma zakresu fal ultrakrótkich.

ŁÓDZKA ĆWIARTKA

DRUGI program telewizyjny powstawać będzie w czterech ośrodkach i każdemu dano sprawiedliwie do realizacji jedną czwartą programu. W przyszłym roku Łódzki Ośrodek Telewizyjny będzie miał do wypełnienia około 83 godzin w programie pierwszym, około 75 godzin programu lokal-

Dalszy ciąg na str. 4

MAREK WAWRZKIEWICZ

ZAPISKI ROSYJSKIE

CZĘŚĆ I

Miasta i miejsca Ludzie Czas

Byłem przez miesiąc w Związku Radzieckim. Ale ominęły mnie na razie egzotyczne podróże. Siedziałem tylko w Moskwie i Leningradzie. Co można jeszcze nowego powiedzieć o tym dwóch najpopularniejszych wśród Polaków miastach? Pomyślałem więc, że zainteresują może państwa moje bardzo prywatne odczucia. Oto one w „Zapiskach rosyjskich".

LUDZIE

Pani G., współtowarzyszka pierwszych dni. Pisarka polska. W Polsce o niej nie słyszałem. Osoba w starszym wieku; z drobnych literackich niepowodzeń zbudowała sobie wielki gmach życiowej przegranej. Od dwudziestu lat nosi się z rękopisem książki, którą przez dwadzieścia lat odrzucali wszyscy wydawcy. Oczywiście — książka wielka, ludzie podli. Napisała sztukę o Aleksandrze I. Szuka tu potwierdzeń swoich sądów. Twierdzi, że sztuka była prorocza, bo nauka dopiero teraz dochodzi do tych samych co ona konkluzji.

Pani G. dziwi się. Dziwi się, że w moskiewskich autobusach i trolejbusach są automaty. Dziwi się, że nie umie mówić po rosyjsku, choć wydawało jej się, że umie. Dziwi się, że jest tu inaczej niż w Warszawie. Na Placu Czerwonym rozmowa o ludziach, których prochy spoczywają w murach Kremla. Oczywiście, nie obywa się bez kilku słów o Stalinie. Nasz kolega, młody tłumacz (przekłada z angielskiego i szwedzkiego, po polsku — ani w ząb), który nam towarzyszy mówi, że Stalin był wielkim człowiekiem. Wszyscy się zgadzają. Pani G. w dalszym ciągu rozprawia po rosyjsku. Uszy bolą i serce się wzdryga. Oddalam się trochę. Za dwa dni pani G. wyjeżdża oświecać ludzi w innych stronach Związku Radzieckiego. Mnie już przy tym nie będzie. Jaśniej mi.

* * *

Galeria Tretiakowska. Duży, olejny obraz Riepina utrzymany w ciemnej ponurej tonacji. Czytam podpis: Aleksander Mieńszykow z synem i dwiema córkami. Tak, to on. Jeden z bohaterów mojej ulubionej powieści, „Piotra I" Aleksego Tołstoja. Faworyt cara, waleczny żołnierz, kawaler orderów, towarzysz carskich hulanek, człowiek, od którego zależało prawie wszystko — losy książęcych rodów, fortuny bogacących się kupców, zwycięstwo lub klęska w niejednej potyczce. Najpierw sprzedawał pierogi na moskiewskich bazarach, potem był pierwszym generał-gubernatorem wznoszonego na bagnach Petersburga. Łapownik, ulubieniec dam, zawołany tancerz i wytworny pijak. Jeszcze i Katarzyna liczyła się z jego zdaniem. Teraz spotykam go na obrazie. Siedzi, posępnie wpatrzony w niski surit, zesłaniec. Kończy swoje barwne życie wśród białych śniegów i ciemnych okopconych ścian, skazany na wygnanie w odległe gubernie wielkiej Rosji. Nie wiedziałem, że tak skończyły się lata sławy.

LUDZIE. MIEJSCE. CZAS.

Ta romantyka podróży! Wielkie przestrzenie aerodromów, szum międzynarodowych dworców, senność małych stacyjek. Dworzec Kijowski w Moskwie. Kipiący rano, wieczorem i nocą tłum ludzi. Jako młody chłopak jeździłem często trasą prowadzącą w ówczesną „Polskę B.", w okolice Rzeszowa. Po drodze, do wlokącego się całą noc pociągu, w jakichś Końskich, Skarżyskach i Sanokach tłoczyły się kobieciny z koszami, tobołami. Teraz w centrum wielkiej metropolii powraca do mnie ten na wpół-zapomniany obraz. Pociągi odjeżdżające stąd do Łucka, Kowla, Odessy, Kijowa. Olbrzymie hale szumiące śpiewną mową, wielkie poczekalnie, gdzie na długich rzędach ławek drzemią podróżni, kioski i wózki z bułkami, które się kupuje na drogę. Walizki, tobołły, worki. Gdzieś w słabiej oświetlonym kącie siedzi na tobołku stara kobieta, rozmawia z towarzyszami podróży, gestykuluje. Twarz spalona słońcem, niemal czarna. Niebieskie oczy łyskają z niej dziko, strasznie. Oczy ze staroruskich ikon. Obok przechodzą elegancko ubrani żołnie-

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Jeden dzień ubiegłego tygodnia — 7 sierpnia przyniósł dwa wydarzenia o doniosłym politycznym znaczeniu. W Europie i na Bliskim Wschodzie pojawiły się nowe, napawające nadzieją fakty. O nich też przede wszystkim będzie mowa w dzisiejszym komentarzu.

☆ ☆ ☆

„Zakończyliśmy długie i skomplikowane rozmowy. Udało się je doprowadzić do rezultatu, zadowalającego obie strony. Porozumienie, do którego doszliśmy, stwarza perspektywę na przyszłość".

„Rząd radziecki jest przekonany, że rezultaty te odpowiadają zarówno interesom polepszenia rozwoju i rozszerzenia współpracy między naszymi krajami, jak też interesom dalszego rozładowania napięcia w Europie i sprawie bezpieczeństwa europejskiego".

PIERWSZY cytat pochodzi z wypowiedzi Walter Scheela w chwili, gdy opuszczał Moskwę, drugi — z wystąpienia Andrzeja Gromyki. Jak bowiem oczekiwano, po krótkiej, ale pracowitej końcowej fazie rozmów, 7 bm. parafowano w stolicy ZSRR układ radziecko-zachodnioniemiecki. Po zatwierdzeniu go przez rządy obu krajów zostanie on podpisany, a po ratyfikowaniu przez parlamenty — wejdzie w życie. Treści układu nie podano dotychczas do wiadomości, jak jednak kilkakrotnie pisaliśmy — dotyczy on wyrzeczenia się siły i wzajemnej współpracy.

Pomyślne sfinalizowanie rozmów, które — przypomnijmy — w etapie przygotowawczym prowadzone były ze strony NRF przez Bahra, a końcowym przez Scheela, ma istotne znaczenie i może utorować drogę idei europejskiego bezpieczeństwa. Będzie to jednak miało miejsce tylko wówczas, kiedy treści parafowanego właśnie układu będą konsekwentnie wprowadzane w życie. To zaś zależy przede wszystkim od rządu NRF, od tego, jak praktyka jego działania sprawdzać będzie intencje, wypowiadane wielokrotnie przez kanclerza Brandta. Nie można bowiem ani na chwilę zapominać, że procesowi odprężenia, którego podstawowym warunkiem jest ostateczne i nieodwracalne uznanie europejskich realiów, przeciwne są liczne siły w NRF. Będą one atakowały wyniki moskiewskich rozmów i utrudniały wprowadzenie układu w życie. Słusznie przecież obawiają się, że może on być wkładem w stopniowe, jednoczesne i wyważone rozbrojenie.

Parafowanie układu odbiło się niezwykle szerokim echem na całym świecie. Obok ostrożnych ocen spotkać można również daleko idące. Dla tych ostatnich reprezentatywny jest głos „Paris Jour". W komentarzu tego paryskiego dziennika czytamy m. in: Układ „może przynieść za sobą taki strategiczny, dyplomatyczny, polityczny i gospodarczy przełom w całej obecnej strukturze światowej, że nawet najmądrzejsi dyplomaci i obserwatorzy zachowują jeszcze rezerwę w swych przepowiedniach i komentarzach".

Dla nas układ o wyrzeczeniu się siły we wzajemnych stosunkach między NRF i ZSRR jest przede wszystkim krokiem na drodze do stworzenia systemu zbiorowego bezpieczeństwa w Europie. Temu służą i nasze rozmowy z rządem NRF, w których na plan pierwszy wysuwa się potwierdzenie ostatecznego charakteru granicy na Odrze i Nysie.

JAK WSPOMNIAŁEM powyżej, 7 sierpnia przyniósł także drugi ważki fakt. Rządy ZRA i Izraela uzgodniły zawieszenie broni.

Wcześniej Tel Awiw udzielił pozytywnej odpowiedzi na tzw. plan Rogersa, co spowodowało rozpad koalicyjnego rządu. Decyzja o pozytywnej odpowiedzi podjęta została w sytuacji, kiedy plan ten zaakceptował prez. Naser (pisaliśmy o tym w ub. tygodniu).

Uzgodnienie o przerwaniu ognia na czas ograniczony poprzedziła konferencja ministrów 5 państw arabskich w Trypolisie, na której — jak przypuszcza się — powzięto ważne decyzje, dotyczące zacieśnienia jedności arabskiej. Równocześnie cztery wielkie mocarstwa zdecydowały o wznowieniu misji amb. Jarringa. Po rocznym okresie przerwy rozpoczął on swą działalność od ustalenia czasu i miejsca rozmów, które mają doprowadzić do porozumienia między obu walczącymi stronami na temat wprowadzenia w życie rezolucji Rady Bezpieczeństwa.

Misja amb. Jarringa nie będzie łatwa, ponieważ Izrael właściwie z góry zapowiada, iż nie wycofa swych wojsk z wszystkich okupowanych terytoriów arabskich. Jego zgoda na rozmowy została wymuszona sytuacją i obawą Stanów Zjednoczonych, że stracą w świecie arabskim resztki wpływów. Do tego trzeba jeszcze dodać, że Golda Meir mówiła ostatnio o jakichś nowych zobowiązaniach USA wobec Izraela. Przypuszcza się, że dotyczą one nie tylko dalszej pomocy militarnej, ale również popierania interesów izraelskich w toku rozpoczynających się rozmów. Wszystko to razem — mimo nowych faktów — nie skłania do nadmiernego optymizmu.

NA ZAKOŃCZENIE odnotujmy sformowanie przez Emilio Colombo, wieloletniego ministra skarbu, nowego centrolewicowego rządu włoskiego. W podziale tek, w stosunku do poprzedniego, 31 gabinetu Włoch po wojnie, nastąpiły minimalne zmiany. Czy będą one w programie nowego rządu — dowiemy się z exposé premiera. W każdym razie od tego głównie zależeć będzie, jak długo gabinet przetrwa.

W. SŁAWSKI

JERZY URBANKIEWICZ

Ciąg dalszy wielkiej wojny

Kierowcy łódzcy pamiętają dobrze dwa rzędy olbrzymich topoli, które ocieniały szosę wiodącą do Warszawy przez Łowicz. Przed paroma laty pojawili się ludzie z piłami i siekierami i olbrzymy, pamiętające czasy, kiedy pod ich konarami turkotały tylko koła drewniane, poczęły znikać, odsłaniając nudę wylasiałej drogi. Nie zawsze dajemy sobie radę z problemami tworzenia rzeczy nowych. Natomiast niszczenie drzew odbywa się u nas wprawdzie bez rozgłosu, ale sprawnie, a nawet z zapałem. W ten sposób na naszych oczach giną lasy spalskie, aniśmy się spostrzegli, jak krasnoludki zlikwidowały większość sosen, starych i młodych wokół Arturówka, warszawiacy rozpaczają, że im tej zimy wytruto 12 tysięcy drzew chlorkiem wapnia, i w ten sam sposób ogołocono z drzew szosę warszawską. Temu ostatniemu wydarzeniu towarzyszyła akcja usuwania drzew przydrożnych w całym kraju — ze względów bezpieczeństwa ruchu. Więc przebrnęliśmy. Uzyskaliśmy drogę szerszą, gładszą, teoretycznie — bezpieczniejszą. Ale oto niespodzianka. Na ogołoconej z drzew szosie warszawskiej notuje się więcej wypadków drogowych, niż ich się zdarzało w cieniu drzew. Narzuca się jeden wniosek: usunięcie drzew i rozszerzenie jezdni wpłynęło na sprawność komunikacji, poprawiło przelotowość szosy, nie wywarło zaś pozytywnego wpływu na bezpieczeństwo podróżującego tędy człowieka.

Podobne zjawisko obserwuje się w Warszawie, gdzie największa ilość nieszczęśliwych wypadków drogowych zdarza się na szerokich, wygodnych arteriach komunikacyjnych. Nikt — rzecz jasna — nie wyciągnie z powyższego wniosku, że należy zaprzestać budowy szerokich i wygodnych dróg. Przeciwnie problemy komunikacji komplikują się bardzo szybko, dominują wśród problemów urbanizacyjnych, wymagają więc szybkich i racjonalnych rozwiązań. Jeżeli jednak we wszelkich poczynaniach chodzi ostatecznie o los człowieka, to sprawa jego bezpieczeństwa tkwi najprawdopodobniej nie w sposobie budowania dróg, ale w sposobie ich wykorzystywania.

W tej chwili motoryzacja wtargnęła do 1/3 państw świata. A więc problemy motoryzacji obce są jeszcze dwóm trzecim państw świata, a należą do nich państwa o bardzo licznym i gęstym zaludnieniu. Otóż tylko w tej zmotoryzowanej części w roku 1969 zginęło w wypadkach ulicznych 200 tys. ludzi a rany odniosło 2 miliony ludzi. Niech więc nikogo nie zdziwi, że już wkrótce wyrażone cyframi zgonów okrucieństwo obu wojen światowych przestanie przerażać wobec o wiele większej ilości zgonów w ruchu ulicznym. Pewien dziennikarz nazwał ruch uliczny „dalszym ciągiem wojny prowadzonej innymi środkami". Jeżeli druga wojna światowa trwała sześć potwornych lat, to wojna na szosach trwa wciąż, a ilość ofiar z roku na rok rośnie.

Oczywiście dysponujemy ludźmi i środkami powołanymi do przeciwdziałania zjawisku. Jeden ze sposobów przeciwdziałania to właśnie wycięcie owych drzew, o czym mowa była na początku, co jednak dało skutek przeciwny zamierzonemu. A paradoksalnych sytuacji znajdziemy w tej dziedzinie więcej. Każdy kierowca trafia parę razy do roku w ręce organów dokonujących kontroli jego dokumentów i stanu technicznego wozu. A więc do znudzenia: proszę włączyć światło pozycyjne, mijania, długie, lewy kierunkowskaz, prawy, światło stop. Przy odrobinie szczęścia można w czasie jednej podróży prowadzącej przez kilka województw być kontrolowanym kilka razy. A przecież zaledwie około 2 procent wypadków wynika właśnie ze złego stanu technicznego wozu. Około połowy wypadków powodują np. w Łodzi — piesi. Druga połowa, jest następstwem grzechów i błędów kierowców. Jeżeli więc tylko w dwóch wypadkach na sto dochodzi do nieszczęścia z powodu usterek technicznych, to milicjanci powinniby poświęcić cały swój wysiłek na walkę z pozostałymi przyczynami. Tak nakazuje logika. Choć ta sama logika nie sugeruje jednocześnie, jak tego dokonać w praktyce.

Jak widać — paradoksów w tej dziedzinie mnóstwo. Oto jeszcze jeden przykład sytuacji paradoksalnej. Jak wiadomo milicjant kierujący ruchem spełnia jednocześnie dwie funkcje: po pierwsze — stróża bezpieczeństwa, po drugie stróża porządku na drodze. Aby zapewnić porządek komunikacji, odpowiednim gestem zachęca kierowców do szybkiej, owszem — w dozwolonych granicach, ale szybkiej jazdy, szybkiego opuszczania skrzyżowań. A przecież tak rozumiany porządek na jezdni pozostaje w sprzeczności z zasadą bezpieczeństwa, a więc z drugim zadaniem, dla którego owego milicjanta postawiono w danym miejscu.

Gdybyśmy doszli do wniosku, że w omawianej sprawie jeszcze spotkaliśmy za mało paradoksów, to służę następnym przykładem. Jak powiedziałem wyżej, ilość wypadków spowodowanych przez kierowców i przez pieszych jest na przykład w naszym mieście mniej więcej jednakowa. Wynikałoby więc z tego, że ilość ostrzeżeń i pouczeń skierowanych do kierowców i do pieszych powinna być mniej więcej ta sama. A jak jest w rzeczywistości? Kierowca który przejedzie przestrzeń od Placu Wolności do Pl. Reymonta zostaje kilkadziesiąt razy pouczony, ostrzeżony, zmuszony do czegoś lub od czegoś powstrzymany, gdyż na przestrzeni tej stoi kilkadziesiąt znaków drogowych do niego, kierowcy adresowanych. Pieszy, z którego winy zdarza się tyleż nieszczęść na ulicach, co z winy kierowców, spotyka co najwyżej światła, które go obowiązują, ale których bardzo często nie szanuje, poza tym zaś co jakiś czas wzrok jego pada na znak sygnalizujący: „przejście dla pieszych", a więc znak stanowiący uprawnienie a nie rygor. Mamy więc znów sytuację paradoksalną. Kierowców poddaje się surowym rygorom na każdym niemal kroku. Piesi, powodujący taką samą ilość wypadków, traktowani są pobłażliwie.

Kiedy się wyważa odpowiedzialność kierowcy z jednej a pieszego z drugiej strony, to podkreśla się nierzadko, że w kolizji kierowca jest tym, którego broni stal pojazdu, a pieszy musi ulec. Rozumowanie to, pozornie logiczne, ma jednak jedną słabą stronę. Mianowicie skutki dla zdrowia i życia wynikłe z kolizji: pojazd —pieszy są te same w wypadku winy kierowcy, co i winy pieszego.

Jeżeli popatrzeć na sprawę z punktu widzenia statystyki, to efekt przytoczonych cyfr będzie różny, w zależności od analizy tych cyfr. W Polsce ginie rocznie około 3.500 osób. W Stanach Zjednoczonych — 55.000. Niewiele nam pomoże zestawienie z ilością mieszkańców obu krajów. Jeżeli jednak odniesiemy te dane do ilości samochodów, jakie kursują po drogach obu krajów, to zestawienie statystyczne nie okaże się dla nas korzystne.

Jak dotąd, mówiłem o najboleśniejszym aspekcie motoryzacji, o wynikającym z niej nieszczęściu człowieka. A przecież znaczenie samochodu dla tegoż człowieka jest o wiele szersze. Syrena karetki pogotowia obwieszcza bliskość jego narodzin a obwieszcza też jego zgon. Staje się klamrą jego życia. A pomiędzy tymi dwoma dźwiękami samochód — własny czy wynajęty — towarzyszy mu w radościach pomyślnych poczynań, w trwodze nieszczęść, w nudzie konwenansów. To wszystko dotyczy jego prywatnych spraw. A przecież prowadzi on też działalność gospodarczą. Jest cząstką organizmu gospodarczego, którego funkcjonowanie jest nie do pomyślenia bez tych setek tysięcy i milionów samochodów, które muszą dokądś dojechać, wyładować towar, który wiozą, nie zniszczony i na czas. A więc jeżeli rozlega się po kraju jakieś hasło, którego realizacja ma polepszyć działalność gospodarczą kraju, to w podtekście tkwi zawsze przekonanie, że miliony krzyżujących się po kraju nici komunikacyjnych nie połączą się, że nie przerwą, że połączą te punkty, dla łączenia których zostały stworzone.

A oto w sam środek tych spraw i rozważań wtacza się nagle nieudane dziecko polskiego przemysłu motoryzacyjnego: świeżo odlakierowany mikrus z wyreperowanym wnętrzem i niebieską smugą spalin po bokach i za sobą i przypomina nam o jeszcze jednym aspekcie motoryzacji. Z miliona rur wydechowych płynie trucizna wprost w nasze płuca, na kwitnące sady, na zieleń łąk, która zmieni się w karmę dla zwierząt i przyjedzie do nas samochodem jako białe mleko, lub przyrumieniony sznycel. Na jednym z łowisk niezbyt odległych od ujścia wielkiej rzeki złowiono partię śledzi, których mięso zawierało fenol. Jakież spustoszenie czynią w naszych organizmach składniki benzynowych spalin!

Wymieniłem więc trzy aspekty motoryzacji. A oto zaczyna być ważny czwarty. Z roku na rok rozwija się w Polsce przemysł samochodowy, rośnie więc odrębna gałąź gospodarki, miejsce zatrudnienia wielotysięcznych rzesz.

Wymienione tu i nie wymienione problemy motoryzacji już wywarły olbrzymi wpływ na bieg naszych codziennych spraw, a na ogół nie zdajemy sobie sprawy, jaki wywrą wpływ w przyszłości. Jeżeli wymieniłem wyżej szereg paradoksów charakterystycznych dla prób rozwiązania problemów, to istnienie tych paradoksów jest dowodem, że stosowanymi środkami nie uniknie się ujemnych skutków motoryzacji. Jak ich uniknąć — to już zadanie nie dla poszczególnego miasta, nie dla państwa nawet. Są to już problemy całej ludzkości, a przynajmniej tej 1/3, zmotoryzowanej. Toteż coraz częściej dochodzi do międzynarodowych konferencji, na których szuka się rozwiązania tego problemu na drodze naukowej.

Doceniając doniosłość poruszonych tu spraw dla życia społeczeństw, dziennikarze zorganizowani w krajowe kluby motorowe oraz w międzynarodową organizację, zwaną Interpress-Auto-Club zjechali się w Pradze na Sympozjum na temat „Bezpieczeństwo ruchu a dziennikarstwo".

Siedem delegacji siedmiu państw przedstawiło własne problemy związane z motoryzacją i własne sposoby walki z trudnościami. Delegacja polska wystąpiła z referatem zatytułowanym „Problem ochrony dzieci od nieszczęśliwych wypadków w ruchu ulicznym na przykładzie akcji prowadzonej przez polski Klub Motorowy Dziennikarzy". Ta popularna u nas w kraju akcja wywołała bodaj największe zainteresowanie uczestników sympozjum, w dziedzinie bowiem tak skomplikowanej i — jak to przedstawiłem wyżej — pełnej paradoksów, my, dziennikarze polscy, inicjujący tę akcję obraliśmy chyba najwłaściwszy sposób podejścia do problemu. Punktem wyjścia stało się przekonanie, że o sytuacji na jezdni decyduje świadomość kierowcy i świadomość pieszego, decyduje — określmy to najogólniej — kultura użytkowników ulicy. Stąd to, co przyjęło w Polsce umowne hasło „Stop — dziecko na drodze" polega na ustawicznym oddziaływaniu na wyobraźnię dzieci i dorosłych. Ponieważ zaś dzieci rosną w przekonaniu, że kultura zachowania się na ulicy decyduje o jego i innych bezpieczeństwie, akcja ta za lat kilka odegra swoją rolę w ten sposób, że wejdą w życie pierwsi dorośli, od dziecka ukształtowani jako członkowie nowoczesnego, zmotoryzowanego społeczeństwa. Niewątpliwie zaskoczeniem dla międzynarodowego audytorium był fakt, że wyniki pracy na tym odcinku w Polsce są wymierne. Jeżeli do roku 1967 ilość nieszczęśliwych wypadków wśród dzieci niepokojąco rosła, to obecnie wzrost ten został zahamowany, co wobec stałego wzrostu ilości środków komunikacji jest niewątpliwym sukcesem. Łodzianie wiedzą zapewne, że w naszym mieście efekty tej działalności są wyjątkowo ewidentne, jeżeli bowiem w roku 1967 na ulicach Łodzi zginęło 7 dzieci, to w roku bieżącym jeszcze ani jedno, a poważnemu zmniejszeniu uległa ilość lżejszych wypadków z dziećmi.

Jeżeli jednak sprawy te wywołały podziw uczestników sympozjum, to podziw nasz, polskiej delegacji wywołał fakt, że w Polsce sprawa życia ludzkiego narażonego w skomplikowanej machinie ruchu ulicznego jest w znacznej mierze przedmiotem zainteresowania instytucji społecznych, co bywa nierzadko rozumiane jako czyjeś hobby, gdy w innych krajach zajmują się tym instytucje państwowe. Na przykład w Związku Radzieckim i NRD powołano do życia Instytuty Bezpieczeństwa Ruchu. Koordynują one wysiłki naukowców w różnych dziedzinach związanych z przedmiotem, a więc specjalistów budowy samochodów — bowiem konstrukcja samochodu ma wielki wpływ na bezpieczeństwo ruchu, specjalistów organizacji transportu, medycyny związanej z transportem, psychologii itd.

Dowodem tego, jak bardzo po amatorsku podchodzimy my w Polsce do tych problemów, jest udział prasy w propagowaniu tych spraw i sugerowaniu rozwiązań. Przecież w Polsce ukazuje się tylko jedno pismo zajmujące się sprawami motoryzacji i bezpieczeństwa, mianowicie tygodnik „Motor". Prasa codzienna traktuje te sprawy na równi z dowozem pomidorów i produkcją wody sodowej, a radio poświęca im nieliczne minuty. A oto dla porównania — jaki jest udział środków masowego przekazu w Czechosłowacji. Rozgłośnia bratysławska nadaje w programie całego kraju codzienną audycję „Uwaga — zakręt" trwającą całą godzinę. Rozgłośnia praska nadaje co sobotę program dla kierowców pt. „Szczęśliwej drogi". Oprócz tego zaś wychodzą w Czechosłowacji: tygodniki „Auto-Moto" oraz „Świat motoru", miesięczniki: „Automobil", „Za kierownicą" i „Zmotoryzowana współczesność". I wreszcie cały szereg czasopism o tytułach: „Sztuka kierowania autem", „Szkoła bezpiecznej jazdy", „Młodzież i motoryzacja", „Chłopcy — pełen gaz!" i szereg innych. To — przypominam — w małej Czechosłowacji. A u nas jeden jedyny tygodnik „Motor".

Świat się motoryzuje. Jesteśmy krajem, w którym pęd do motoryzacji jest nie mniejszy niż gdzie indziej. Mamy przemysł samochodowy i stosunki handlowe z zagranicą, które zapewniają dalszy, szybki rozwój motoryzacji. Nie wolno zapominać, że samochód ma jednak służyć człowiekowi, że inna jest świadomość społeczeństwa prymitywnego, a inna powinna być świadomość społeczeństwa zmotoryzowanego.

JAN KOPROWSKI

Na przykład Resko

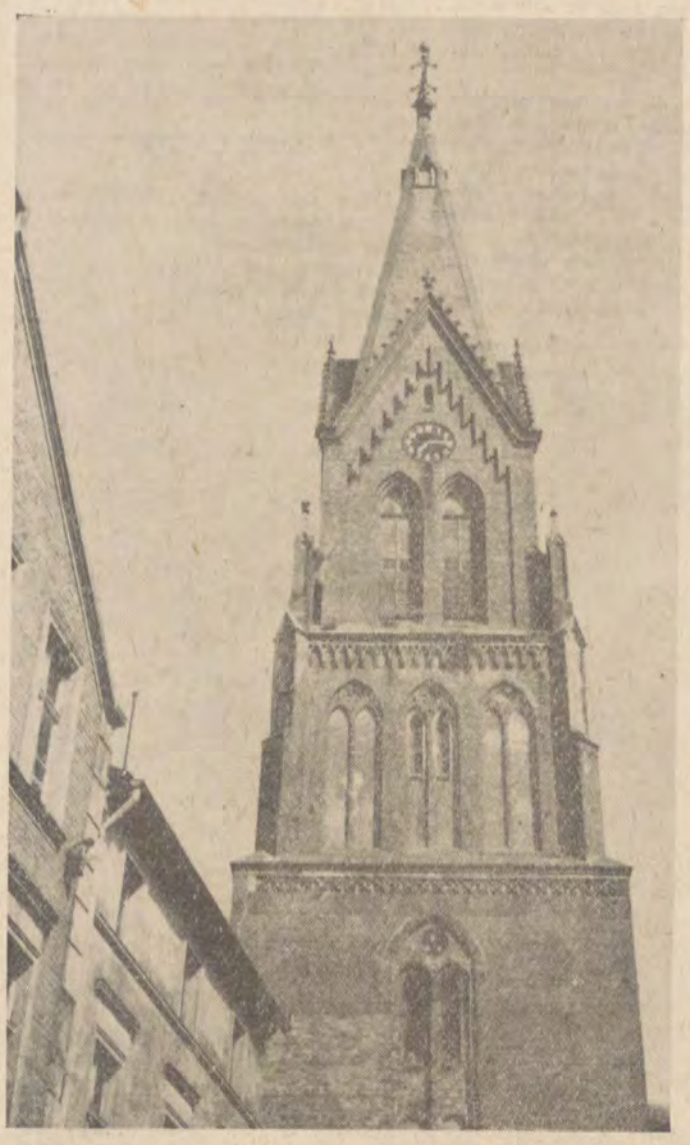

Wieża gotyckiego kościoła (XIV—XV w.)

Zaczęło się pechowo: poczta w Resku nie doręczyła depeszy, zawiadamiającej przyjaciela o moim przyjeździe. Po przybyciu na miejsce starałem się rzecz wyjaśnić u źródła, tracąc na to parę godzin czasu. Depesza moja nadeszła, figuruje w spisie druków odebranych przez telegrafistę, natomiast nie została doręczona i nie wiadomo w ogóle, co się z nią stało. Energiczna kierowniczka urzędu („pracuję tutaj już 25 lat, ale nie pamiętam, aby przydarzyło się coś podobnego") postawiła na nogi całą pocztę, pościągała listonoszy i urzędników, zbadała wszystkie zakamarki, przeszukała nawet kosze na śmiecie. Bezskutecznie. Depesza wsiąkła jak kamień w wodę. Przy okazji dowiedziałem się kilku historyjek o zakroju tragifarsowym, związanych właśnie z nadawaniem i odbieraniem depesz. Jedną z nich przytoczę. Pewien młody człowiek uległ wypadkowi i poniósł śmierć na miejscu. Lokatorzy, u których ów młody człowiek odnajmował pokój, nadali do jego rodziców we wsi rzeszowskiej depeszę następującej treści: „Franek się zabił, przyjeżdżajcie". Do miejsca przeznaczenia depesza doszła o czasie, tyle tylko, że po drodze zniekształcono ją o jedną literę, co dało następujący efekt: „Franek się zapił, przyjeżdżajcie". (W języku pocztowców mówi się w takich przypadkach, że depesza uległa przekłamaniu). Oburzeni rodzice postanowili nie przyjeżdżać, aby nie narażać się na wstyd i hańbę przed całym Reskiem. Ale kiedy dowiedzieli się prawdy i przyjechali, aby pochować syna, żal ich do pracowników urzędu pocztowego nie miał granic.

Resko jest małym, czterotysięcznym miasteczkiem, położonym nad rzeką Regą, która wpada do Morza Bałtyckiego w Mrzeżynie, ale zanim to uczyni, zasila swoimi wodami (wykorzystywanymi do celów energetycznych) Świdwin, Łobez, Płoty, Trzebiatów i Gryfice. O tych Gryficach tośmy już przed laty słyszeli i czytali w gazetach, orientujecie się zatem państwo, że znajdujemy się na ziemi szczecińskiej. Jest ciepły dzień lipcowy, chce się spacerować i cieszyć urokami lata. Ale reporter nie po to jeździ po Polsce, aby opiewać słońce i pogodę. Pragnę się dowiedzieć, jak wygląda życie w małym miasteczku, w którym większość mieszkańców stanowią dawni repatrianci zza Bugu i osadnicy z Polski środkowej. Liczę na to, że przyjaciel, który tu mieszka od lat, walnie mi w osiągnięciu celu dopomoże.

Pierwsze kroki kieruję do kiosku, kupuję gazetę i pytam, czy nie ma jakiegoś informatora lub folderu o Resku. Sprzedawczyni wzrusza ramionami:

— Nie ma, bo i po co. Tutaj ludzie o wszystkim panu powiedzą. Rzut oka na miasto, spacer po rynku i ulicach, których zresztą niewiele. Owszem jest kościół, nawet dość stary (gotyk z XV wieku, przebudowany w r. 1882), ratusz, ślady gotyckiego zamku Borków, młyn zbożowy nad Regą a po jej drugiej stronie, na przeciwko, gospoda, która, podobnie jak rzeka, „Rega" się nazywa. Gospód posiada Resko aż dwie, druga pod wezwaniem Zagłoby, ale gdyby Zagłoba mógł widzieć i słyszeć, co się tam dzieje, bez przerwy w grobie by się przewracał.

— To nie gospoda, panie, to mordownia — informuje mnie przypadkowy rozmówca. — Ale i w „Redze", chociaż niby elegantsza, tego się pije, a łaciny, której tam używają, i Zagłoba by jej pozazdrościł. Ładnie tu, panie, ale to Texas.

Texas znaczy się dziki Zachód. Przesada, oczywiście. Ludzie żyją tutaj jak wszędzie: pracują, dorabiają się, piją, płodzą dzieci, narzekają, chwalą sobie, przyjeżdżają, wyjeżdżają, zostają. A właśnie: gdzie pracują? Co Resko może im zaofiarować? Pracę we młynie, w tartaku, w ZNMR (Zakłady Naprawcze Mechanizacji Rolnictwa), na nowych budowach, których prowadzi się kilka. No i przede wszystkim gospodarstwa. Wielu reskowian posiada ziemię, uprawia ją i z tego żyje. Dla przyjeżdżających na budowę jest hotel, bardzo przyzwoity, który rozporządza ponadto kwaterami prywatnymi. Mój przyjaciel mieszka właśnie w takiej prywatnej kwaterze. Nie narzeka, bo gospodarze ludzie przyzwoici, a firma płaci za lokum i to wcale nieźle. Budowlanym w Resku, jak zresztą wszędzie w Polsce, powodzi się dobrze. Zarobki mają wysokie, a jeśli im praca na jednej budowie nie odpowiada, idą na drugą, gdzie przyjmowani są chętnie, jako że w budownictwie brak rąk do pracy. I tu zaczyna się dramat. Kierownictwo budowy, aby ludzi zatrzymać, patrzy często przez palce na ich wybryki. Kwitnie bumelanctwo, robotnicy pracują w kratkę, zrozpaczony majster obchodzi się z nimi, jak z jajkiem, bo w każdej chwili mogą oni rzucić robotę i plan zostanie zawalony. Po każdej wypłacie przez dwa, trzy dni w ogóle nie zjawiają się na budowie.

— Wtedy gospody są pełne — mówi przyjaciel. — Miasto aż szumi, sam chyba widziałeś.

Trafiłem akurat na okres wypłatowy. Pod kioskami z piwem od rana do wieczora urzędowanie. Ludzie, w większości młodzi (ale i starszych nie brak) piją, prowadzą bełkotliwe rozmowy, sikają, znowu piją. Przy jednym z kiosków ustawiono nawet stoliki i krzesła na murawie, aby pijacy nie męczyli się wielogodzinnym staniem. Więc siadają, najpierw na krzesłach, a potem, gdy już mają mocno w czubie, zsuwają się na trawę, leżą, śpią, pośpiewują, słowem: w monotonię pijacką starają się wprowadzać trochę urozmaicenia. Pije się zresztą wszędzie. W domach prywatnych i w hotelu. Pewnego razu ludzie byli świadkami niezwykłego wydarzenia. Gdy mieszkańcy hotelowi tęgo sobie popili, jeden z nich oświadczył, że skoczy z drugiego piętra i przefrunie osiem metrów w powietrzu. Ponieważ znaleźli się niedowiarkowie, trzeba było zrobić zakład. Kto wygra, postawi nowy literek. Z parteru, gdzie odbywała się popijawa, zainteresowani weszli, słaniając się, na drugie piętro, otworzyli okno, śmiałek stanął w nim, rozwarł ramiona i wyskoczył. Do hotelu wchodzi się po kamiennych stopniach, przed nimi jest placyk betonowy. Zalany Ikar runął na kamienie, połamał obydwie ręce w nadgarstkach, pokiereszował sobie twarz i powędrował na trzy miesiące do szpitala. Zdaniem świadków, którzy do dziś pękają ze śmiechu, gdy przypominają to wydarzenie, wszystko skończyło się bardzo szczęśliwie. Mógł przecie zabić się na miejscu, albo zostać kaleką na całe życie.

— Najsmutniejszą stroną życia w Resku — mówił przyjaciel — brak rozrywek. Ludzie żonaci mają dom i rodzinę. A młodzi kawalerowie? Gdzie pójść, co z sobą zrobić? Teatr z reguły nie przyjeżdża, a kino tylko jedno. Prawda, dyrekcja stara się i sprowadza bardzo dobre filmy. Ale do kina można pójść raz, najwyżej dwa razy w tygodniu. A co dalej? Można pójść do lasu, nad rzekę, bo Resko położone ładnie i okolica malownicza. Ale to też nie wystarczy. Jedyne, co pozostaje, to gospoda. I wóda płynie jak Rega.

Dodajmy od siebie, że jest jeszcze klub młodzieżowy „Relaks", zlokalizowany w dość ładnie urządzonej piwnicy. Młodzież przychodzi tu chętnie, zwłaszcza w soboty i niedzielę, kiedy odbywają się wieczorki taneczne. Ale nie wszystkim atmosfera klubu odpowiada. Muzyka hałaśliwa do niemożebności, od dymu aż czarno, tańce nudne, czyli wciąż na jedno kopyto.

Niedziele w Resku przypominają niedziele we wszystkich małych miasteczkach. Starsi stoją przed domami lub wysiadują na przyzbach, młodzi chodzą tam i sam po ulicy i nie wiedzą, co z sobą począć. Tworzą się grupy i grupki. Gdzieś grają w karty, ktoś zabrzdąka na gitarze, ktoś przeciągnie palcami po klawiszach akordeonu i znowu senna nuda. A co będzie, gdy dojdzie do pięciodniowego tygodnia pracy i czas wolny jeszcze się wydłuży? Ludzie żyją tu powoli, nie śpieszą się w przekonaniu, że nie ma się dokąd i po co śpieszyć, a gdyby nawet — to i tak zdążą. Nie funkcjonuje należycie poczucie obowiązku i odpowiedzialności. Po paru dniach pobytu w Resku postanowiłem pojechać do Koszalina. Przyjaciel doradził mi, abym dostał się do Płotów, gdzie złapię pociąg bezpośredni relacji Szczecin — Koszalin. Z Reska do stacji Płoty zaledwie 10 kilometrów. Fraszka. Ale w Płotach, podobnie jak w Resku, nikomu do niczego nie śpieszno. Ogonek przed kasą biletową spory, czas odjazdu pociągu się zbliża, a kasa wciąż zamknięta. Zdenerwowany idę do kierownika ruchu.

— Dlaczego nie sprzedaje się biletów? — pytam. — Przecież ludzie czekają.

— Kasjerka nie przyszła do pracy — odpowiada z niezmąconym spokojem kierownik ruchu.

— A można wiedzieć, dlaczego nie przyszła?

— To jej rzecz, nie moja.

— Ale to również nasza rzecz, pasażerów. Już dziesięć minut po siódmej.

— Dopiero siódma. Zegar kolejowy się śpieszy.

— To trzeba go uregulować, nie uważa pan.

— Uważam. Ale to nie moja rzecz.

— Jeśli pojedziemy bez biletów, będziemy ukarani nie z naszej winy.

— Powiecie, że nie było kasjerki.

— Nie uwierzą.

— Uwierzą.

Dalsza rozmowa wydała mi się bezcelowa. Wróciłem do ogonka. Ktoś ze służby stacyjnej zlitował się wreszcie i otworzył okienko, aby sprzedawać bilety dosłownie na pięć minut przed odejściem pociągu. Czy wszyscy zdołali je wykupić — nie wiem. Wyszedłem na peron. Po wczorajszej pogodzie niebo zaciągnęło się chmurami i zaczął padać deszcz. Najpierw drobny kapuśniaczek, potem coraz gęstszy. Wcisnąłem się w kąt przedziału. Pasażerowie siedzą senni, za oknami pociągu zielone pola w ulewnym deszczu, nikt nie ma ochoty do rozmowy. Jest ranek lipcowy 1970 roku.

KAROL BADZIAK

Jak ukraść milion?

Przywłaszczyć sobie milion złotych z państwowej kasy — to jednak sztuka. Ludzie, którzy to potrafią, uchodzą za znakomitych fachowców. Odraza, jaką z tego powodu budzą, pomieszana jest z podziwem. Dodałbym nawet, że tego podziwu dla ich kwalifikacji finansowych jest więcej niż przygany dla ich kwalifikacji moralnych. Czy rzeczywiście złodzieje gospodarczy są takimi specami? Przyjrzyjmy się im z bliska.

Oto Wiesław Gutowski, główny księgowy spółdzielni mieszkaniowej „Rogi". Gutowski wsławił się tym, że zagarnął z kasy spółdzielczej 1.280.000 złotych. Uchodził za solidnego człowieka, wypić lubił, ale w miarę, rachunki w lokalach gastronomicznych płacił, ale nie wygórowane, wykształcenie miał, ale średnie, umysł też, ale nie Einsteina, a mimo to w ciągu pięciu lat okpił spółdzielnię na sumę większą niż jednorazowa wygrana w Toto-Lotka. Jako się rzekło, Einsteinem nie był, a mu się udało. Przeżył w tym czasie w dodatku trzy skrupulatne kontrole, w tym jedną NIK-u. Wpadł przypadkowo i to wcale nie wtedy, kiedy wybierał z kasy gotówkę, lecz kiedy wpłacał. Zamiast 43.000 zł przekazał kasjerce 47.000 złotych. Były to pieniądze pobrane z Banku Inwestycyjnego na wypłatę dla robotników.

Tak się złożyło, że nieobecną kasjerkę zastępowała jej koleżanka. Sprawdziła ona, czy suma przyjęta od Gutowskiego, zgadza się z sumą wpisaną przez niego na odcinku czeku. Wyszło jej, że wpłacił o cztery tysiące za dużo. Ponieważ była to kobieta uczciwa, powiadomiła o tym księgowego. Podziękował jej i oświadczył, że widocznie kasjerka w Banku się pomyliła, załatwi to z nią następnego dnia. Następnego dnia była akurat niedziela, a w poniedziałek księgowy miał kaca i do pracy nie przyszedł. Nadszedł natomiast do spółdzielni wyciąg z banku, na którym widniało, że Gutowski pobrał nie 43.000 zł a 66.260 zł.

Gdy we wtorek nasz bohater zjawił się w pracy, czekał na niego już prezes i zebrani na nadzwyczajnym posiedzeniu członkowie zarządu. Uczynione mu zarzuty przyjął z głębokim zrozumieniem, nie kłamał, nie kręcił, uderzył się w piersi, złożył samokrytykę, i prosił o przebaczenie. Pobiegł też zaraz do banku i przywłaszczone 19.260 zł natychmiast wpłacił na konto spółdzielni. W swej nadgorliwości nadpłacił nawet owe 4.000 zł „za dużo".

Członkowie zarządu nie okazali się jednak wielkoduszni, zadzwonili po milicję, która niebawem przyjechała i buchaltera wsadziła za kratki. Jego buchalterią zajęli się teraz milicyjni eksperci. Wyszło na jaw, że prowadził on nie tylko podwójne życie, lecz i podwójną księgowość. Udawało mu się, ponieważ będąc księgowym, pełnił również od czasu do czasu funkcję kasjera, co jest niezgodne z przepisami, ale wygodne dla przestępcy. Jeśli chodzi o czeki, to osoby uprawnione do podpisywania, robiły to in blanco, lub składały podpisy już po pobraniu przez Gutowskiego pieniędzy z kasy. Lekkomyślność i niczym nie usprawiedliwione zaufanie jego zwierzchników były więc powodem nadużyć, a nie jakaś tam buchalteryjna wirtuozeria głównego księgowego.

A kontrola? Okazuje się, kontrole były równie powierzchowne, jak lekkomyślni byli szefowie Gutowskiego. Morał nasuwa się sam: mniej kontroli, a lepsze. W księgowości cudów nie ma. Jest najwyżej czyjaś głupota, lub bałagan, jak w przypadku drugiej „milionerki" — Anny Urbanowicz, księgowej ze Szkoły Podstawowej nr 80, która także przywłaszczyła sobie z kasy przeszło milion złotych. I ona nie była geniuszem księgowości, wątpię nawet czy pan Rzecki przyjąłby ją na ekspedientkę do sklepu Wokulskiego. Dokonała jednak czynu nie lada, w ciągu pięciu lat wycisnęła ze skromnego budżetu szkoły podstawowej milion złotych, to jest dwadzieścia procent całej kwoty. Uczyniła to tą samą techniką, co jej starszy kolega po fachu ze spółdzielni mieszkaniowej „Rogi". Ona również kumulowała dwie funkcje: księgowej i kasjerki.

Czeki do banku, jak wiadomo, podpisuje główny księgowy, realizuje zaś kasjerka. Drugi podpis na czeku składa zwykle kierownik, dyrektor lub prezes, zależnie od profilu instytucji. Annie Urbanowicz, podobnie jak Gutowskiemu, udawało się zdobywać podpisy in blanco, z tym, że z biegiem czasu tak się rozzuchwaliła, że nawet i o to przestała dbać. Po prostu sama fałszowała podpis kierownika szkoły. Na 451 czekach zrealizowanych w ciągu pięciu lat, jedynie w 68 wypadkach podpisy były oryginalne, reszta podrobiona. I w tym przypadku okresowe kontrole musiały być fikcyjne, gdyż ani razu nie ujawniły fałszerstw, szytych bądź co bądź dość grubymi niciami. Dowodzi to kompletnej ignorancji i indolencji osób pracujących w organach kontrolnych.

W ogóle sprawy finansowe, jeśli tylko nie dotyczą własnej kieszeni, są w naszym kraju traktowane przez niektórych buchalterów nie przymierzając jak przez poetów. Wymowną ilustracją tego niech będzie sprawa między Izbą Rzemieślniczą a Zakładem Doskonalenia Rzemiosł. Otóż Zakład od wielu lat użerżawił budynki, należące do Izby. Ale ponieważ jedna instytucja nie wiedziała, ile ma płacić, a druga nie wiedziała, ile jej się należy, więc obie wielkodusznie zrezygnowały z zajmowania się takimi drobiazgami jak regulowanie rachunków. I oto, kiedy w Izbie Rzemieślniczej jakiś nadgorliwy i prostoduszny urzędnik, widocznie z nudów, zaczął szperać wśród dokumentów, dokopał się, że Zakład Doskonalenia Rzemiosł winien jest Izbie 3 miliony złotych. W Izbie zapanowała konsternacja, a w Zakładzie panika. Jak się na tym dobrze znam, to nadgorliwy urzędnik zamiast premii dostanie naganę, jeśli jeszcze nie otrzymał wymówienia.

Kiedyś zajmowałem się sprawą Domu-Zawalidrogi przy ulicy Zachodniej. Proces władz miejskich z właścicielem o wywłaszczenie trwał chyba z dziesięć lat. Na przestrzeni tak długiego czasu zajmowało się tą kwestią na pewno ze stu urzędników i jestem pewien, że żaden z nich nie zapoznał się całkowicie z aktami sprawy. Problemu w ogóle nie było, ponieważ właściciel miał jeszcze jeden dom w Łodzi, a w tej sytuacji w świetle obowiązujących przepisów sprawa jest jednoznaczna. Niestety, żaden z tych stu urzędników nie zbadał sprawy gruntownie i dlatego tak długo się to ciągnęło. Analogicznie jak ci kontrolerzy w obu wyżej opisanych buchalteryjnych aferach. Ani jeden z nich rzetelnie nie popracował. W dawnych czasach nazywano takich ludzi bumelantami, dziś żadnej nazwy dla nich nie ma, wobec tego lepiej na tym zakończyć.

Miasta i miejsca

Ludzie Czas

Dalszy ciąg ze str. 1

rze, jadą pewnie na urlop, lub wracają z urlopów.

O dwudziestej trzeciej zero osiem odjeżdża pociąg do Odessy. Jest długi, ale cały mieści się w kolosalnym hallu. Składa się tylko z wagonów sypialnych. Widać przez okno, przez szparę w źle zaciągniętej firance: na półce worki i toboły, a obok łóżka z białą pościelą. Koło wagonu stoi kilkunastoletni chłopak w drelichowej bluzie, czapka naciągnięta na oczy. Trzyma w ręku wielki, najwyższej klasy tranzystor marki „Riga". Radio gra beatową, angielską melodię. Wagon restauracyjny, czynny całą noc. Taki, jakie się spotyka tylko na najlepszych, międzynarodowych liniach. Otwarte drzwi na peron. W tych drzwiach na małym stołeczku siedzi starsza kobieta, ma u nóg worek i wiaderko z wodą. Obiera ziemniaki. Tak jak u nas na wsi, na przyzbie.

MIEJSCA, LUDZIE

Dziś kolejka do Mauzoleum Lenina niewielka. Ciągnie się na przestrzeni zaledwie dwóch kilometrów. Potrójny, poczwórny rząd ludzi zaczyna się w Aleksandrowskim Sadzie, pełźnie niespiesznie przez zalany upalnym słońcem Plac Czerwony. O jedenastej czoło pochodu zasila nowa, duża grupa ludzi. O tej właśnie porze mają tu nie poprzedzony wielogodzinnym oczekiwaniem wstęp cudzoziemcy. Teraz na przestrzeni kilkudziesięciu metrów można spotkać przedstawicieli chyba połowy narodów świata. Hindusi, Japończycy, Niemcy, Anglicy, Meksykanie. I obywatele radzieccy, ze wszystkich nawet najodleglejszych republik. Grupka Uzbeków, czterech mężczyzn, stoją parami. Każda para niesie niewielki kosz prostych, polnych kwiatów. Przypomina mi się opowiadanie taksówkarza: o trzeciej w nocy łapie go babina w pobliżu dworca Kurskiego: „Towarzyszu o której otwierają Mauzoleum Lenina?"

Coraz bliżej, rozmowy cichną. Wchodzimy w półmrok, do Mauzoleum.

Na zapleczu Mauzoleum, w murze Kremlowskim i tuż przy nim tablice, pod którymi pogrzebano ludzi zasłużonych dla Rewolucji, dla międzynarodowego ruchu robotniczego. Rok dziewiętnasty, dwudziesty, dwudziesty pierwszy. Na tablicach nazwiska, które już przykryła niepamięć, nazwiska ludzi nieraz dwudziestokilkuletnich. W tym długim szeregu spoczywa też John Reed., autor „10 dni, które wstrząsnęły światem". Z ostatnich — kosmonauci. Bezpośrednio za Mauzoleum — siedem niewielkich surowych pomników. Wśród nich: Kolinin, Dzierżyński, Świerdłow, Stalin. Pod długim, czerwonym murem przepływa ludzki potok. Odczytywanie nazwisk, rozmowy. Komentarze.

MIEJSCA. LUDZIE.

Muzeum imienia Puszkina. Oszałamiające bogactwo w dwóch głównych działach: starożytności, gdzie znajdują się dzieła sztuki ze starożytnego Egiptu, Rzymu i Grecji oraz w drugim, który jest poświęcony malarstwu. Na przestrzeni dwudziestu kilku sal zebrano to, co wszyscy znamy z reprodukcji. 6 obrazów Rembrandta, Rubens, Luces Cranach, Velazquez, El-Greco, setki innych. A potem Matisse, Pissaro, rzeźby Rodina, obrazy i ceramika Picassa, Leger, Manet, Van Gogh, Toulouse-Lautrec, Cezanne... W głowie się kręci. Można tu przychodzić co dzień. Mnóstwo ludzi. Niektórzy kręcą się, ustawiają, szukają dobrego światła — robią zdjęcia. W kilku miejscach rozstawione blejtramy, rozłożone szkicowniki. Cicho. Szelest kroków. Tylko z sąsiedniej sali dobiega głos przewodniczki, która oprowadza po muzeum wycieczkę: „dumą naszej galerii jest sześć obrazów Rembrandta..."

MIEJSCA

Zjedzenie obiadu w Moskwie w lipcu nie należy do rzeczy prostych. Zaczynam od restauracji, która jest w pobliżu, od „Dniepru". Zamknięta. Zarezerwowana dla turystów zagranicznych. Ja też jestem obcokrajowcem, ale wina moja polega na tym, że jestem sam. Idę dalej. W niedalekim, wielkim (ale nie największym — „Rosja" — 6 tysięcy miejsc!) hotelu „Ukraina" — dwie restauracje. Pierwsza — zarezerwowana w całości dla wycieczek zagranicznych. Mówią, że druga otwarta. W drugiej odsyłają mnie do pierwszej — ta zarezerwowana. Idę dalej. Olbrzymi „Arbat" zajęte. „Aragwi" — restauracja gruzińska ze sławnymi (dużo w tym przesady) szaszłykami — zajęta. „Centralna" — (specjalność — kuchnia rosyjska) — identycznie. Kontynuuję pielgrzymkę. Pora obiadowa dawno już minęła, jest wieczór. Restauracja „Mińsk". Oczom nie wierzę. W drzwiach stoi jak wszędzie cerber, ale nie rzuca się na ludzi, wpuszcza. Wchodzę, prawie pusta sala. Nogi mnie bolą tak, że jeść mi się już nie chce.

LUDZIE

Też restauracja „Mińsk", ten sam wieczór. Po odczekaniu obowiązkowych trzydziestu minut notuję pierwszy objaw przelotnego zainteresowania się kelnerki moją osobą. Dalsze piętnaście minut niczym nie zakłóconego spokoju. Wreszcie jest — niewiasta o wyglądzie chorej, w ostatnim stadium śpiączki. Zamawiam. Po dalszych paru minutach kelnerka doprowadza do mojego stolika (wiele stolików wolnych, ale taki tu zwyczaj) dwuosobowe to warzystwo. Na pierwszy rzut oka widać, że to matka i syn. Lecą na stół obfite przekąski, dania. Sałaty, mięsa, kawior, ryby, kurczaki, wino, koniak. Mama w okolicach sześć dziesiątki, ubrana z lekko dziwaczną elegancją, syn — prosty, młody człowiek. Kończę swoje, wychodzę. Oni zostają, jedzą i piją.

A epilog tej historii jest zupełnie nieprawdopodobny. Wieczorem opowiadam o tym Andrzejowi Bartyńskiemu wrocławskiemu poecie który tu na kilka dni przyjechał z siostrą. Nazajutrz rano jego siostra idzie do salonu fryzjerskiego. Tego samego dnia w południe wiem już z kim dzieliłem stół w restauracji. Było to spotkanie po wielu, wielu latach. Spotkanie rzeczywiście — matki z synem. W czterdziestym drugim roku matka dostała się do niewoli. Wywieziona na roboty do Niemiec pojechała po wojnie dalej, aż znalazła się w Kanadzie. Wróciła tu dopiero teraz, w 1970, aby odnaleźć swojego, dwuletniego wówczas syna. Znalazła go, jest robotnikiem w jednej z moskiewskich fabryk. Ta uczta w „Mińsku" to była kolacja po pierwszym ich spotkaniu. Ta sama fryzjerka czesała Rosjankę z Kanady i siostrę wrocławskiego poety. Tak się zamyka ta historia. Góra z górą — nie, a człowiek z człowiekiem... W Moskwie, ośmiomilionowym mieście.

LUDZIE. CZAS.

Ulica moskiewska. Nawet poza ścisłym centrum, kiedy zniknął już tłum cudzoziemców — najbardziej różnorodna, różnojęzyczna, mieszani na Wschodu i wielkiej Europy. Na rodowe stroje różnych republik Związku Radzieckiego. Zwykłe, szarawe ubrania moskwiczan. Kolorowe garnitury damskie. Nieśmiałe i wyzywające mini-spódniczki. Nikt niczemu się tu nie dziwi, nikt za nikim, z charakterystycznym polskim pogwizdem, nie ogląda. Głowy chłopców ostrzyżone niemal do gołej skóry i długie „beatowe czupryny". Te ostatnie ściągają trochę kosych spojrzeń. Jeszcze kołchoźnicy robiący kolosalne zakupy w sklepach i uniwermagach. Dowcip moskiewski: „Dziesięć dni, które wstrząsnęły GUM-cem" (główny uniwersalny magazyn)? Wszechrosyjski Zjazd Kołchoźników".

Najbardziej różnorodna ulica. Wielu inwalidów. Mężczyźni po pięćdziesiątce pod sześćdziesiątkę. Bez rąk, o laskach, z protezami. Potrójne i poczwórne rzędy baretek na zwykłych marynarkach. Ordery.

Żołnierze Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

MIEJSCA

Na starym moskiewskim cmentarzu w pogodną niedzielę kłębi się ludzkie mrowie. Ludzie odwiedzają swych zmarłych. W wielkiej, zbudowanej obok głównego wejścia kwiaciarni długa kolejka po kwiaty. Stajemy w niej. Pytam mojego przyjaciela, Igora Dubrowickiego, dla kogo kupujemy kwiaty. Okazuje się, że jego żona, Ludomiła, jest wnuczką słynnego komika rosyjskiego, Du

Dokończenie na str. 7

Narodziny drugiego

Dalszy ciąg ze str. 1

nego i około 58 godzin programu drugiego. Na program lokalny składa się 260 audycji informacyjnych i 24 publicystyczne. Dla programu pierwszego trzeba będzie zrobić 113 audycji, w tym 17 artystycznych, 25 rozrywkowych, jeden Telewizyjny Ekran Młodych i 42 popularnonaukowe.

Łódzka ćwiartka programu drugiego składać się będzie z 13 reportaży i audycji publicystycznych, 6 audycji artystycznych, 26 — rozrywkowych i 39 — popularno-naukowych. W sumie Łódzki Ośrodek Telewizyjny w przyszłym roku zrobi dla siebie, programu pierwszego i drugiego 481 audycji telewizyjnych.

Jest więc szansa na pokazanie Polsce Łodzi. W świadomości wielu mieszkańców kraju utrwalił się stereotyp dawnej Łodzi: dym, sadze, kocie łby na ulicach i kręcące się wrzeciona. Sporo od tamtego czasu zmieniło się w mieście i zmienia się dalej. Tu ogólne problemy — podobnie jak w całym kraju — rozwiązuje się w zależności od typowych dla miasta i okręgu warunków. Jest więc co pokazywać.

Cykliczny magazyn „W środku Polski" zapozna telewidzów z przeszłością miasta i z niej wynikającymi kłopotami, aby tym ułatwić kontakt z łódzką współczesnością. Nie przypadkowo na telewizyjny warsztat wzięto problem wody, bo jej deficyt jest bolączką wielu miast, a dla Łodzi ma znaczenie kapitalne, gdyż decyduje o dalszym prawidłowym rozwoju włókiennictwa. Budowa kanału Sulejów — Łódź problem ten ostatecznie rozwiąże, a jest przy tym tematem pasjonującym.

Inny cykl „Nauka i kamera" stwarza możliwość — wzorem „Kina Krótkich Filmów" czy „Kina Filmów Animowanych" — pokazania dorobku Wytwórni Filmów Oświatowych. Jest on pokaźny i różnorodny, ale rozproszony. Wiele filmów CWF pokazuje jako dodatki przed filmami fabularnymi, ale większość znakomitych i nagradzanych rzeczy nie zawsze trafia do kinowego odbiorcy. Dzięki audycjom telewizyjnym można je będzie zebrać według określonych twórców, których w przeciwieństwie do autorów filmów fabularnych prawie wcale nie znamy.

Łódź będzie miała też swój udział w programie teatralnym. Ma to być TEATR PROZY — inaczej adaptacja utworów literackich na telewizyjną scenę. Na pierwszy ogień przygotowano „Chłopów" Władysława Reymonta, a następnym łódzkim spektaklem Teatru Prozy ma być adaptacja „Przygód dzielnego wojaka Szwejka" Jarosława Haska.

O teatr można być spokojnym, bo przecież Łódzki Teatr Telewizji zapisał się dobrze w pamięci telewidzów, a wielu aktorów i reżyserów tu zaczynających — czego im nie wypominamy — m. in. dzięki telewizji otrzymało służbowe przeniesienia do innych miast, z których przeważnie wybrali Warszawę. Pozostało środowisko ciekawe, o dużych możliwościach, którym trzeba tylko odpowiednio pokierować, właściwie wykorzystać jego walory.

Inaczej przedstawia się sytuacja z rozrywką. ŁOT ma zrealizować w ciągu przyszłego roku 26 audycji rozrywkowych i muzycznych, co w rezultacie daje jedną audycję raz na dwa tygodnie. W Łodzi utarło się przekonanie, że nie ma tu ciekawego i oryginalnego środowiska autorów i wykonawców pracujących dla potrzeb estrady. Dotychczasowe „łódzkie" programy rozrywkowe realizowano przy pomocy sił importowanych. Czy rzeczywiście Łódź nie może pokusić się o stworzenie rozrywkowego widowiska, charakteryzującego się własnym stylem?

Przypomnijmy może, że z Łodzi wywodzi się „No to co", tutaj powstał „Canon Rytm", „Trubadurzy" czy „Vox Remedium". Aktualnie dla potrzeb estrady rozrywkowej piszą: Janusz Słowikowski, Wojciech Drygas, Wiesław Machejko czy Włodzimierz Krzemiński. Łódzka Rozgłośnia Polskiego Radia dorobiła się dwu cyklicznych audycji rozrywkowych: „Wesołego Autobusu" i „Programu z dywanikiem". Jest zespół baletowy Teatru Wielkiego, są soliści opery i operetki. Jest wreszcie orkiestra Debicha. Nie ma chyba tylko dobrych pomysłów.

Nie byłbym jednak i w tej dziedzinie takim zdeklarowanym pesymistą, bo ciągle pamięć podsuwa mi tę prawdę, że wszyscy, którzy dziś liczą się w piosence, satyrze i rozrywce zaczynali na studenckich estradach. Na. Agnieszka Osiecka, Wojciech Młynarski, Jan Pietrzak, Ewa Demarczyk. Czy w Łodzi nie ma aktualnie ciekawego ruchu studenckiego? Wiem, że liczby nic nie mówią o poziomie, ale zawsze można z mnogości coś wybrać, trzeba tylko pamiętać, że to wybrane nie jest już gotowe i wymaga jeszcze sporo pracy. Tak więc mamy w Łodzi 7 teatrów studenckich, które w ubiegłym i tym roku dały 14 premier, odbyło się 5 giełd piosenki, na których 65 wykonawców zaprezentowało 350 piosenek, a najciekawsze pozycje stale prezentują 3 studenckie kabarety. Warto jeszcze tylko wspomnieć, że wśród młodzieży artystycznej parającej się piosenką do najciekawszych autorów należą Krystyna Iżykowska i Bogusław Mec.

Łódzkiemu Ośrodkowi Telewizyjnemu powierzono też prowadzenie lekcji języka angielskiego.

INACZEJ, CZYLI POWRÓT DO WIEŻOWCA

DRUGI będzie się zasadniczo różnił od programu pierwszego nie tylko charakterem, ale i techniką. Cały program będzie odtwarzany z taśmy telerecordingu. Proces powstawania programu pomyślano dość oryginalnie, biorąc pod uwagę warunki techniczne poszczególnych twórców. Wprawdzie Kraków, Warszawa i Katowice dysponują nowymi studiami, ale i ich udział w programie pierwszym jest też większy. Dlatego program drugi będzie w całości rejestrowany długo przed emisją.

Układem łącz radiowych poszczególne ośrodki będą nadawać audycje do Warszawy, gdzie utrwali się je na magnetowidzie. Następnie przeniesie się zapis na taśmę telerecordingu, aby później nadać z powrotem do tychże czterech ośrodków już jako gotową audycję. W Łodzi będzie je odbierała aparatura znajdująca się w wieżowcu i stąd nadawała dla miasta i jego okolic. Aparatura ma być zmontowana do końca sierpnia br. i przez cały wrzesień będzie na kanale 10, niezależnie od kanału 7 nadawany program pierwszy, aby telewidzowie mogli sprawdzić swoje odbiorniki, a „Łączność" aparaturę nadawczo-odbiorczą.

Wydaje się, że ŁOT technicznie jest dobrze przygotowany do realizacji drugiego programu TV. Dysponuje 12 kamerami w dwu studiach i wozie transmisyjnym. Tylko, że do obsługi tych kamer ma aż... 4 ludzi. To stanowczo mało. Gdyby się zdarzyło, że program wymagałby współpracy studia z wozem transmisyjnym, gdzie jest akurat 4 kamery, to trzeba byłoby dokonać wyboru: albo studio, albo wóz, albo... pożyczyć 4 kamerzystów z innego ośrodka.

Wóz transmisyjny daje ŁOT duże możliwości przygotowywania dobrych programów. Można bowiem z każdego miejsca w mieście przekazywać obraz nie tylko na antenę, ale i do magnetycznej rejestracji. Poza tym ŁOT i Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna otrzymują wspólnie kamerę do jednoczesnego rejestrowania obrazu i dźwięku oraz wyposażenie do jej technicznej obsługi. ŁOT wprawdzie został zobowiązany do udostępnienia szkole swoich studiów na 4 godziny w tygodniu, co na pewno nie ułatwi pracy, ale i zapewni w przyszłości napływ kadry.

Trochę inaczej wygląda sprawa z technicznym przygotowaniem... telewidzów. Posiadaczom telewizorów: „Belweder", „Wisła", „Rekord", „Orion AT 501" i „Pegaz" można doradzić ich sprzedaż lub kapitalny remont. Program pierwszy stacja w Zygrach emituje na kanale 7, z wieżowca można będzie odbierać program drugi na kanale 10. Teoretycznie wszystkie nowsze odbiorniki telewizyjne powinny mieć ten kanał, ale często w czasie naprawy „spece", aby sobie nie robić kłopotu, kanał ten... wyrzucali. Teraz trzeba sprawdzić, czy taki właśnie nie spotkał go los?

Program drugi aparatura z wieżowca będzie nadawała w polaryzacji PIONOWEJ. Wszyscy którzy będą chcieli odbierać ten program muszą zainstalować na dachu dodatkową antenę ustawioną pionowo. Zabawa będzie nielicha, tym bardziej, że nie ma wcale żadnej pewności, że ZURT dostarczy na czas odpowiedniej ilości anten i kabla. Potrzeba będzie też trochę dodatkowych rur. Jedyną pociechą jest to, że jak zapewniał w wywiadzie dla „Dziennika Łódzkiego" dyrektor Stacji Radiowo-Telewizyjnych w Łodzi — Longin Wiszowaty „ci wszyscy, którzy mieszkają blisko gmachu telewizji — a którym nie uda się skorzystać szybko z usług ZURT, mają duże szanse, aby odbierać drugi program przy pomocy prowizorycznych anten".

Kiedy spotkam mego przyjaciela, który tak marzył o drugim programie, powiem mu:

— Masz czego chciałeś, ciesz się!

Tym niemniej przyjmijmy DRUGIEGO z życzliwością, gościnnością i radością. Cierpliwie czekajmy na kolorową telewizję. Po drodze może trafi się nam trzeci program. Ach, co to będzie za radość!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

EUGENIUSZ IWANICKI

Święty z Łodzi Kaliskiej

Reportaż naiwny

1

Budził się o świcie. Zmazywał z twarzy rosę i pył węglowy osiadły w ciągu nocy. Obok torowiska, na stertach śmieci, w plątaninie pleniących się dziko gąszczy młodziutkich topoli, Święty układał się co wieczór do snu. Nie reagował na dudnienie powolnych parowych lokomotyw ani na szum sunących w pośpiechu elektrycznych składów. Święty w ogóle już reagował coraz rzadziej. Zobojętniał zarówno na smrodliwy zapach dymu jak i na gwałtowne zmiany temperatury. W deszczowe noce wsuwał się pod płacheć starej blachy z rozprutej beczki po smole, kulił się, wciągał głowę i uśmiechając się do łoskoczących kropli zasypiał snem twardym i krzepiącym. A kiedy był księżyc, kiedy noc na stacji była mętna od dymu i świateł, Święty leżał na wznak i patrzył w gwiazdy. Spoglądał do zawrotu głowy, do niespokojnego odurzenia, do momentu aż poczuł ból i zmęczenie. Mógłby przecież wstać, przebrnąć przez połyskliwą i splątaną pajęczynę szyn, przecisnąć się pomiędzy rozgrzanymi wagonami, minąć drzemiących maszynistów, przedostać się na biały od jarzeniówek peron i niepostrzeżenie stanąć przy kiosku, gdzie wiecznie trwa skisły zapach piwa, gwar mężczyzn i stukot kufli. Ale Święty lubił leżeć i bez końca wypatrywać coraz to nowe i nowe błyszczące punkciki na ciemnoszarym niebie, od południa oświetlonym łuną bijącą z leżącego tuż obok miasta. Nie myślał, tylko się tak wpatrywał. Uśmiechał się kiedy odnajdywał nagle błyszczący punkcik, którego wpierw nie zauważył. Jakby bawił się w chowanego. Nie dostrzegał tak że momentu zasypiania. Kiedy zamiast gwiazd widział nagle nad sobą jasność dnia, a na twarzy czuł wilgoć rosy było to dowodem, że minęła kolejna noc. Zmazywał więc z twarzy rosę i pył węglowy osiadły w ciągu nocy. Chwilę leżał pokonany znużeniem i resztkami snu, lecz uczucie głodu zmuszało go do dźwignięcia się. Kiwał się przez moment z trudem zachowując równowagę, w końcu zaczynał brnąć wśród pordzewiałych puszek, makulatury, szmat, skruszonej cegły i szarego pyłu unoszącego się przy każdym stąpnięciu. Jeszcze tylko kucał dla załatwienia potrzeb fizjologicznych i mógł rozpocząć dzień na nowo. Dzień, który nie ma ani wymiarów, ani pór, ani nie jest inny od innych dni, które minęły czy od tych co dopiero nadejdą. Dzień dla Swiętego to była jasność, picie piwa, jakieś ochłapy jedzenia, tłumy ludzi na peronach. Bowiem nie ustająca przygoda życia Swiętego trwała niezależnie od pór doby czy pór roku. Każda chwila była wielką niewiadomą, niezgłębioną tajemnicą, początkiem i końcem. Dlatego Święty wszystko witał uśmiechem, bełkotliwym chichotem. Cokolwiek było, było dobre i najważniejsze. Nie było takich pojęć jak przeszłość czy przyszłość. Było trwanie. Był on, Święty, jedyny, odurzony radosnym uniesieniem i szczęściem, które wypełniało mu oczy, wykrzywiało w potworny grymas zarośniętą i czarną twarz. Święty trwał w miłości i podziwie. Trwał w jednym czasie, jakim go obdarowano, choć jego historia od dawna należy do przeszłości. Brnął przez wysypisko, chichocząc i pomrukując, śpieszył ku kioskom, przy których stali mężczyźni z kuflami przy ustach. Święty przeżywał swoją nieustającą przygodę.

2

Mały Gang prosperuje od niepamiętnych czasów, od momentu, kiedy na dworcu Łódź — Kaliska zaczęto sprzedawać pierwsze beczkowe piwo. Jest coś romantycznego a zarazem upokarzającego w twarzach ludzi z Małego Gangu. Są źli jak płyn, który nalewa kobieta odgrodzona od ulicy szklaną szybą. Nieomal wrośli w chodnik, w krajobraz szarych budynków, stali się kolorytem dworca. Przez wiele godzin stoją obok kiosku, nie ruchomi, obojętni, otępiali. Czekają. Każdy przychodzący pociąg jest ich nadzieją. Ludzie biegną, dopadają do kiosku, ustawiają się w kilometrową kolejkę. Wówczas ci z gangu wchodzą do akcji. Zajmują miejsca tuż przy szybie, tłoczą się. Przyjezdni napierają, krzyczą. Ale gang nie reaguje.

Aż w końcu Dyzio, pokurcz i garbus odwraca się do stojących najbliżej:

— Komu piwko?

Krzyk, hałas, ponowne szturmowanie kiosku.

— Tam stoi kumpel — pokazuje Dyzio na okienko — może podać bez kolejki. Tylko że on też lubi. No jak, płacisz pan dwa?

Ludzie się spieszą, spoglądają na piszczące na pętli tramwaje, na zajeżdżające autobusy, zerkają na zegarki.

— Niech będzie — decyduje się najbardziej spragniony.

Moneta uderza o blachę, kobieta za szybą przesuwa nikłowaną rączkę kranu, kufle napełniają się bielą z której powoli opada na dno bursztynowy płyn.

Święty stoi nieopodal i chichocze. Jego jasne, dziecięce oczy wędrują od kiosku do ust pijącego. Święty wie, że jemu pośpiech nie jest potrzebny. Teraz pija ci z Małego Gangu. Nieustannie zmieniają się w kolejce, wsuwają głowę w niskie okienko i odchodzą z dwoma pełnymi kuflami.

A potem Dyzio zlewa pozostałości z opróżnionych kufli, sączy powoli, czeka aż opadnie ostatnia, uwieszona na brzeżku kropelka. Celebruje tę czynność i mruga na Świętego, którego suche usta zamykają się i otwierają niczym u wyrzuconej na piasek ryby.

— Pij, Święty — mówi Dyzio.

Piwo odurza, język klei się do podniebienia, oczy na moment zaciąga mgiełka i Święty lekko się kołysząc odchodzi do koszy na odpadki. Wsuwa rękę i wyciąga kawałki niedojedzonych bułek, przetłuszczone masłem pergaminy, które można oblizać. Wybiera te drogocenne okruszyny, wpycha do ust, chowa w zakamarki łachmanów. Ogląda się przy tym, jest czujny niby spłoszone zwierzę. Spotkanie z władzą znów może doprowadzić do podróży do domu starców, skąd będzie musiał uciekać po raz któryś z rzędu.

3

Przed południem, kiedy mijało uczucie głodu, Swiety przemykał się na któryś z peronów i wciskał do pociągu. Nie dbał o kierunek jazdy. Ważna była sama jazda, stukot kół, chybot wagonów, ruch. Święty kucał w korytarzu, zazwyczaj przy oknie i z zachwytem oglądał przesuwający się krajobraz. Odbywał swoją podróż, mikroskopijny rajd w nieznane, podobny do legendarnych tropicieli zapuszczających się w gąszcze dziewiczych lądów.

Właściwie nikt nie wiedział skąd zjawił się Swięty na trasach podmiejskich pociągów odjeżdżających z Łodzi-Kaliskiej. Pojawił się nagle, śmiejący i niemy, demonstrujący pokorę pustelników i naiwność dziecka. Zaczął jeździć do Koluszek, Łowicza, Kutna i Pabianic. Przysiadał się do grających w karty, pozwalał z siebie pożartować, przyjmował drobne pieniądze, które od razu gubił, brał resztki śniadań, spijał kufle. Przyzwyczajono się do Swiętego, jak do wielu innych, obowiązujących na podmiejskich trasach rzeczy. Tolerowano jego obecność, bo Swięty nikomu nie wadził, na wszystko się godził, nie zajmował miejsca, nie hałasował. Konduktorzy mijali go obojętnie, niby porzucony w kąciku bagaż, po który na ostatnim przystanku zgłosi się właściciel.

Nazywano go Swiętym, choć nikt dokładnie nie pamiętał skąd wzięło się to przezwisko. Może ktoś zażartował z jego spokojnej, nieruchomej postaci, może z tego nie znikającego uśmiechu, czy może nazwa wzięła początek od oczu jasnych, promiennych i wielkich? Dla nas był Swiętym i jako taki pozostał w pamięci zarówno tych, którzy pamiętają go z lat czterdziestych, jak i tych, którzy byli świadkami jego tragedii. Bo święci nigdy nie mieli spokoju, szczególnie na ziemi. Ten Święty był wyjątkowo narażony na spotkania z ludźmi. Uciekając przed milicjantami trafił na bandę grasujących w pociągach chuliganów, którzy okupują podmiejskie trasy niszcząc wagony i wyrzucając konduktorów z pędzących pociągów.

Swięty nie osądzał ludzi. Brał życie w najbardziej prymitywny sposób. Reagował jak to robią zwierzęta: uciekał przed bólem, łasił się do tych co go karmili. Najchętniej uśmiechał się do pewnej prządki ze Strykowa, która wtykała w jego czarne i szponiaste palce kawałki chleba, siadał w pobliżu lekarza z Pabianic, który dał mu do ssania tabletkę witaminy C, albo sapiąc z zadowolenia nachylał się nad grającymi w karty robotnikami, którzy częstowali go papierosami.

Zgubiła Świętego ufność i miłość. W swoim przywiązaniu do ludzi nie rozróżniał dobra od zła, toteż kiedy w ową noc kazano mu otworzyć drzwi wagonu...

4

Była noc, ciemna i duszna, podobna do waty zawieszonej nad ziemią. Pociąg dudnił i w skowycie wagonów ginęły ludzkie głosy. Święty stał na korytarzu i przycisnąwszy twarz do szyby oglądał jemu tylko widoczny świat. Był to ostatni kurs pociągu w kierunku Łodzi. W ową noc młodociani wandale rozpoczęli demolowanie wagonów.

— Te — powiedział długowłosy, opięty pasem nabijanym błyszczącymi gwoździami. — Coś się tak przykleił do szkła?

— Marzy — uśmiechnął się inny. — Pewnie niedawno ze szkoły.

— Te — powiedział ten z nabijanym gwoździami pasem. — Stuknij no w ramę.

Swięty odwrócił się, a jego bełkot wyrażał podziw i zachwyt. Zamigotały błyszczące gwoździe na szerokim pasie, niepokojąco zakołysał się medalion na szyi jednego z chłopców.

— Z czego się cieszysz? — wysunął się do przodu Kapeć i prztyknął Świętego w czoło, aż rozległo się klaśnięcie.

— To jakiś idiota! — zawyrokował Hacel. — Śmieje się jakby mu ktoś narobił w kieszeń.

Podróżni, stłoczeni w przedziałach, zachowywali milczenie. Pragnęli jedynie szczęśliwie dojechać do stacji przeznaczenia. Zdawali sobie sprawę, że są na łasce tych młodych ludzi, którzy przed chwilą powybijali szyby i połamali drewniane półki. Ciągnąca się za oknem noc i jędzący pociąg były sprzymierzeńcami długowłosych.

— Chłopaki, zabawimy się! — krzyknął nagle Plegus i szarpnął Świętego za poczerniała i cuchnącą bluzę. — Trzymaj go Wielki!

Zaczęli podawać sobie Świętego, który zataczał się, odbijał od ścian, leciał wprost na okno, zrywał się, znów padał, usiłował zachować równowagę i przez cały czas śmiał się tym swoim, rozbrajającym śmiechem. A oni go podawali sobie na ręce, odpychali, odrzucali z całą siłą i rechotali gdy Święty walił się na podłogę, gdy rozbił ostatnią, ocalałą dotąd szybę.

Śmiech i zgiełk wypełniały wagon.

— Niech wysiądzie! — ktoś krzyknął.

— Wysiadka!

— Na zieloną trawkę!

— Otworzyć drzwi!

Swięty, zakrwawiony, z grymasem uśmiechu na czarnej twarzy, śmiało i ochoczo podreptał do drzwi. Odszedł szybko i nagle, jak człowiek, który gdziekolwiek się znajdzie, zawsze jest u siebie, w swoim domu, pośród najbliższych. Tylko lecące z lokomotywy iskry świadczyły, że pociąg oddalał się od miejsca, w którym Swięty pozostał na trawie, nieprzerwanie uśmiechnięty.

ANDRZEJ SZONERT

Henryk Strumiłło

„Fantazja artystyczna jest zawsze cielesna, nigdy jednak otyła, zawsze przyodziana w siebie samą, nigdy jednak przeładowana ani „ozdobiona".

B. CROCE

Henryk Strumiłło generalnie uprawiając sztukę niefiguralną niekiedy opuszcza ramy nieprzedmiotowości, wkraczając w świat natury. Jest to akt świadomej ucieczki od spekulacji czysto formalnych, w obręb doznań bardziej ludzkich, codziennych i rzekłbym — elementarnych. Cykl wykonywanych ongiś gwaszy w plenerze górskim pozwolił Strumille ujawnić potencjał wrażliwości w sposób ostateczny determinujący kształt plastyczny dzieła. Hedonistyczny niemal zachwyt nad pięknem przyrody i jej urzekająca liryka dyktowały prace mięsiste, mocne, o dużych walorach kolorystycznych. Zadziwiający był fakt, że prawie równolegle w swej pracowni Strumiłło realizował kompozycje niefiguralne. Ta swego rodzaju dwoistość koncepcji pozornie sprzecznych ujawniła w istocie potrzebę uogólnień czysto formalnych, równoległą do naturalnej konieczności kontaktu z natura i jej ponownego przeżycia. Okres namiętnego informelu w malarstwie Strumiłły cechowało tyleż pragnienie warsztatowej perfekcji, co i chęć znalezienia własnej formuły w obrębie bądź co bądź wypróbowanej konwencji. W moim odczuciu obrazy Strumiłły nigdy nie były par excellence abstrakcyjnymi, chociaż sam artysta za takie je uważał. Podświadoma chęć wyobrażania świata widzialnego niejednokrotnie dominowała do tego stopnia, że mimo woli pod pędzlem rodziły się kształty i układy łudząco nawiązujące do pejzaży i struktur naturalnych. Były to prace silnie rozfakturowane, nie wychodzące poza wspólną gamę kolorystyczną brązów kontrastujących z mocnymi bielami. Malarz, szukający z natury ładu, prezentował nam świat pełen napięć i erupcji. Wielokierunkowe układy linii i plam, maksymalnie dynamizujące płaszczyznę obrazu, były jednak kładzione z rozmysłem, a nawet pewną minoderia. Stanowiły popis sprawności pikturalnej. Rzeczowa solidność obróbki była często w sprzeczności z zaborczą dynamicznością kompozycji. Z czasem Strumiłło uspokoił układy, zmonumentalizował je, poszukując określeń bardziej lapidarnych, atakujących widza w sposób natychmiastowy przez swoja jednoznaczność i skrótowość.

HENRYK STRUMIŁŁO *Gwasz 1970 r.*
Foto: PIĄTKIEWICZ

Gwasze prezentowane na wystawie w Klubie Dziennikarza ujawniły nam ponownie związek artysty z naturą i nieustanne do niej odwoływanie się. Natura w pracach tych sprowadzona jest z reguły do pewnego, zamierzonego przez malarza, schematu. Tym razem w pełni uświadomiona chęć wyrażania „widzialnego" ujęta została w formę tyleż lapidarna co i bogata. Na białym tle spietrzają się kształty o wyraźnie ograniczonej sylwetce, wewnątrz której odbywa się właściwa gra poetycko-formalna.

Technika monotypii pozwala wydobyć efekty plastycznie niezmiernie intrygujące, nieoczekiwane a jednocześnie stanowiące przejrzysta aluzję do traw, gór, skał i temu podobnych rekwizytów pejzażu.

Strumiłło traktuje swe gwasze jako utwory samodzielne, a jednocześnie służebne wobec realizacji większych prac malarskich. Gwasze Strumiłły częściowo powstają w drodze mechanizmu odbijania, więc pewne efekty fakturalne powtarzają się, kształty zaś przybierają każdorazowo odmienny wygląd. W rezultacie powstaje olbrzymia kolekcja prac o wspólnych cechach formalnych. Czyżby artysta skłaniał się powoli ku niezwykle aktualnej formule multipli, czyli obiektów artystycznych powielonych?

Jeśli nawet tak, to sądzę, że twórcę bardziej bawi przygoda i błyskotliwość kierowanego przypadku, aniżeli walory ideowo-programowe multiplikacji. Strumiłło nadaje swym gwaszom kształty silnie i bezpośrednio kojarzące się z pejzażem. W sposób niemal przewrotny wkracza w naturę, nie dopowiadając jej ostatecznie. Pozwala widzowi na luksus postawienia kropki nad „i".

Znając Strumiłłe jako malarza obrazów olejnych, z niepokojem i niekłamaną ciekawością oczekuję transpozycji pokazanych w Klubie Dziennikarza gwaszy na znacznie większy format i w odmiennej technice.

BARBARA SZEFFER

Miniatury

Lodówka

Wiesz, mieszkam od pewnego czasu w lodówce. Zawsze dziwiłam się tym, którzy mogli w takiej atmosferze oddychać, pracować, po prostu żyć. Mówiłam, że ja nigdy, że wolałabym nie wiem co, i jeszcze wiele podobnych, głupio i dumnie brzmiących słów, układałam w również bez sensu i jak się dziś okazuje bez pokrycia — deklaracje.

Tak się złożyło, że w lodówce zamieszkałam zimą, więc tym łatwiej przyzwyczaję się, nim przyjdzie lato. Zresztą ostatnio latem nie ma już takich upałów jak dawniej. Klimat nam się zmienił, czy coś w tym rodzaju. Uczeni jakoś to tłumaczą, ale zapomniałam jak.

Najgorsze jest tylko to, że w lodówkach nie ma klamek od środka i czasem, gdy drzwi mocniej się zatrzasną, to w żaden sposób nie można sobie poradzić, póki ktoś z zewnątrz nie pociągnie za uchwyt.

Zauważyłam jednak, że ostatnio tych osób na zewnątrz jest coraz mniej. Może też siedzą w lodówkach i także im trudno wyjść?...

Fetyszyzm

A mówiłam, że nie trzeba nic zmieniać, że stare meble po dziadkach są całkiem dobre, że przyzwyczaiłam się do staroświeckiego lustra, przepastnej szafy, skrzypiących szuflad... Za nic nie chciałam pozbyć się skrzyni, co od lat stała w kącie, za wzorzystą kotarą, bo tam właśnie urządziłam sobie maleńki azyl.

Wyśmiałeś, argumentując słusznie, że jest jaki-taki dobrobyt, więc nie wypada trzymać w domu przedpotopowych gratów, co straszą swym wyglądem. Powiedziałeś też, że niepotrzebnie obawiam się zmian, bo to są przecież zmiany na lepsze i mój konserwatyzm jest tu nie do pojęcia. Aha, zapewniłeś też, że w nowym umeblowaniu będziemy tak samo szczęśliwi, a może i bardziej jeszcze...

No, więc mamy te nowoczesne cuda, lśniące efektownie w dostosowanym odpowiednio oświetleniu — i co?

Powtarzam z przekonaniem, że TO wina mebli, a Ty wzruszasz ramionami i pojąć nie możesz takiego braku logiki u mnie, która uważałeś przecież za osobę mniej więcej rozsądną. I myślisz: Jak ona jednak się zawęziła, cofnęła, „zbabiała".

A ja już prawie uwierzyłam we współzależność tamtych spraw i tak mi jest wygodniej.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Wędka

To było na ziemi.

Szubienicę, wysoką jak masz okrętowy, ustawiono nad szarym brzegiem morza i u ramienia jej, odwróconego ku głębinie, przerzucono przez kołowrót cienką linę. Jej jeden koniec zwisał i huśtał się pętlą żelaznej wędki.

Egzekucja odbyła się prosto. Wędkę wepchnął kat w czerwonej, nie, w buraczkowej komży, skazańcowi w usta i gdy już ostrze zahaczyło o podniebienie i krzyk rozdarł rude niebo na dwie połowy, dał znak ręką. Stojący na brzegu pomocnicy jego — pobieleni wapnem aniołowie, zaczęli za drugi koniec liny ciągnąć. Diabeł zawisł w powietrzu i szedł coraz wyżej w górę szamocąc się i wierzgając nogami jak ryba ogonem. Ręce wyciągał i usiłował schwycić sznur u góry, podźwignąć się na linie i wypluć hak. Mdlał, odpadały mu ręce i krew bryzgała przez usta, spływała na brodę, po szyi i żółtym drelichu, i z nóg, nagich i czarnych jak ziemia wreszcie — z pięt i palców — kapała w czarną wodę głęboką.

Kat i pomocnicy, ci w białych welonach i białych rękawiczkach, trzymali się za brzuchy, gdyż znowu budził się nieszczęśnik i znowu ręce zaczynały mu biegać koło głowy jak oszalałe. To tak śmiesznie wyglądało!

EMANUELA CZERNY

★ ★ ★

Ta kobieta
ma już wszystko
za sobą
siwe pasmo
zostawiła najbliższych
psy i koty
kwiaty w doniczkach
zbite talerze
wytarte suknie
co ja miałam z życia
użala się
wlokąc
po ścianie oczyma
— zawsze tylko
suchary z mlekiem

Nasze nawzajem

Robimy wszystko
nawzajem
nawykłam

widzę
wszystko podwójnie
jedno po drugim

Nasze nawzajem
zamykamy w objęciach
w oczach w krokach
w sobie
Grzebiemy
w przeszłości piecach
zwęglonych sadów
urlopów uśmiechów

Sadzimy nowe drogowskazy
wypełniając nawzajem
przyszłość

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

Nieubłagany

nieubłagany to dzień kiedy słońce wydziera ciszę z głębin ziemi
miłość ogromna przelewa się, z oceanu w ocean
człowiek nie widziany z żadnej pozycji ni odległości
podnosi do zenitu swój niesłyszalny głos
pochłania go litościwa fala obcości
wynurzająca się jak nóż zza pleców
nieubłaganie drążąca każdy inny mózg

giniemy miażdżeni nieuchronnie przez własny cień
jedyną rzecz którą wleczemy za sobą od stuleci

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Skromność

Ja? Ja — Polska!
(PEWIEN KRAKOWSKI POETA)

Trzeba się trochę samemu z siebie pośmiać
Z tej swojej nadętej indyczej pieśni
(JERZY HARASYMOWICZ)

Nie jestem Polską.
Co ze mnie byłby zresztą i za kraj?
Nie wiem, czy uchem by się do mojej stolicy wchodziło.
Nie płynie Wisła przez mój zapadnięty brzuch,
ni żaden z dopływów brudnej Odry.

Gdzie oczom moim do fal morskich,
mimo że kanonierki się na nich kołyszą tak samo,
a wyżej jaskółki i natrętne mewy
nakreślić też potrafią wiolinowy klucz na niebie.

Nie szukaj Tatr u moich palców, płaskich stóp,
rzepę posiejesz mi na piętach, nie Sudety,
nie tylko Wawelu z Katedrą i Szczerbcem,
lecz nawet kulawej cerkiewki z świętym Jurem
nie uświadczysz na moim ramieniu.
W spodniach zgrzebnych chodzę, nie w glorii Grunwaldu i Pskowa,

sweter na sobie dźwigam,
nie Puszczę Białowieską,
a do ust, kiedy talerz mi podają,
trafiam bez mapy w ręku,
za to z pomocą łyżki i widelca aluminiowego.

JERZY WILMAŃSKI

Ja ciągle w pogoni

Ja wciąż w pogoni — wirowanie złote
pulsowanie wiosen — lecz, co będzie potem?

A ty w oczekiwaniu słuchasz zgrzytu klucza,
dni dzielisz na godziny, strach rośnie w nienawiść.

Ja ciągle w pogoni — karuzele złote,
skrzydlaty koń umyka — i co będzie potem?

Ty w przerażeniu czekasz i dłonie masz puste,
Twój strach innej struktury ale ból jednaki

Ja wciąż w pogoni — listopady złote,
aż przyjdzie t e n listopad — i co będzie potem?

Kiedy padnę u kopyt mym skrzydlatym koniom
co ci dam — czekającej — zmęczonej pogonią?

BIBIANNA B. SOJKA

PISARSTWO ELIASA CANETTIEGO

Literatura austriacka posiada takich pisarzy jak Kafka Musil, Broch, których nazwiska wymawia się jednym tchem i stawia się ich w rzędzie najwybitniejszych pisarzy XX wieku. Faktem godnym uwagi jest, że pisarze ci na swoje odkrycie, i to przez obcych, i wielką sławę, czekać musieli prawie ćwierć wieku. Kafka i Musil uznania za życia się nie doczekali; Broch zdobył je dopiero pod koniec pracowitego i fascynującego żywota. A na uznanie to zasługiwał z uwagi na range swojego pisarstwa. Do tych matadorów współczesnej powieści doszedł jeszcze jeden, który podobnie jak wyżej wymienieni, długo musiał czekać na swe odkrycie. Jest nim Elias Canetti. Pisarz ten o biblijnym imieniu i niezwykłym nazwisku, urodzony w roku 1905, pochodzący ze starej rodziny hiszpańskiej, mieszkający do roku 1934 w Wiedniu, a obecnie w Londynie, jest ściśle związany z literaturą austriacką. Dosyć długą i okrężną drogą dotarł Canetti z powrotem do Austrii, by zostać tam „ponownie" odkrytym i uznanym za wielkiego pisarza. Odkryli go Anglicy, fascynował Amerykanów, zachwycał Francuzów. Dopiero w latach 60 został przyjęty przez Wiedeń. W roku 1968 otrzymuje Wielką Nagrodę Literacką Austrii.

Przed wojną znany był Canetti niewielkiemu gronu pisarzy. Wielkiego pisarza widzieli w nim Hermann Broch i Tomasz Mann, których fascynował ogromem fantazji i oryginalnością widzenia świata.

Broch i Canetti pisarstwem swoim są sobie bardzo pokrewni. Tematem ich utworów jest rozpad kulturowy i poniżenie człowieka. Canetti i Broch posiadają zmysł orientowania się w swojej epoce i zawczasu potrafią wyczuć ukryte tendencje rozwojowe. Obnażają bezlitośnie wszystkie schorzenia niemieckiej społeczności, schorzenia systemu władzy i systemu wartości świata wypranego z autentycznej kultury. Obydwaj zafascynowani byli problemem psychologii mas. Broch napisał „Massenpsychologie", Canetti „Masse und Macht".

We wszystkich utworach zainteresowanie Canetti'ego koncentruje się głównie wokół zagadnienia masy władzy i śmierci. Problem ten fascynował Canetti'ego od najwcześniejszych lat; studiowaniu jego poświęcił całe swoje życie. Według niego te trzy zagadnienia są najistotniejszymi zagadnieniami w naszej rzeczywistości. Lata 1921—1924 to czasy inflacji, czasy bardzo burzliwe w historii Niemiec. W latach tych widział Canetti, jako 16-letni chłopak, liczne demonstracje na ulicach Wiednia. Od tego momentu, jak sam mówi, obraz masy nigdy go nie opuścił. Canetti w przemówieniu wygłoszonym 25 stycznia 1968 r. z okazji wręczenia mu Wielkiej Nagrody Literackiej Austrii mówi: „Duże znaczenie miało dla mnie sześć lat, od 1927 do 1933 spędzonych w Wiedniu. Pokój mój znajdował się na drugim piętrze, widać z niego było stadion sportowy Rapidu w Hutteldorfie, skąd dochodziły krzyki tłumów w czasie zawodów piłki nożnej. Nie wiedziałem kto gra, ale słyszałem krzyki, których zresztą nie podobna było nie słyszeć. Robiło to na mnie takie wrażenie, że na krótko traciłem poczucie własnej indywidualności. Podczas gdy inni, co było rzeczą naturalną, szli na stadion i wiedzieli kogo zachęcają krzykiem, ja słuchałem okrzyków bezstronnie, jeżeli tak można rzec, i byłem zafascynowany zagadką. Wydaje mi się, że w ciągu tych sześciu lat dojrzewało we mnie postanowienie zbadania i zrozumienia masy w jej najprzeróżniejszych aspektach". Rezultatem tych badań i rozważań jest dzieło socjologiczno-antropologiczne „Masse und Macht" (Masa i władza), powieść „Die Blendung" (Auto da fe, tłum. Edyta Sicińska, Warszawa 1966), jak również dramaty „Hochzeit" (1932) (Wesele, tłum. Eugeniusz Szrojt, Dialog nr 3, 1967) „Komödie der Eitelkeit" (1934) (Komedia próżności) i „Die Befristeten" (1952) (Oterminowani).

W przemówieniu wygłoszonym w roku 1936 z okazji 50-tej rocznicy urodzin Hermanna Brocha wysuwa Canetti trzy postulaty dotyczące każdego pisarza. Każdy pisarz powinien być pierwsze „psem swoich czasów" i stać w opozycji do nich, powinien społeczeństwo ochraniać, ale jeżeli trzeba i oszczekiwać; po drugie powinien dążyć do uniwersalnego ujęcia rzeczywistości; po trzecie powinien być wrogiem śmierci. Canetti te trzy postulaty spełnił. Wszystkie dotychczas ogłoszone dzieła wskazują na zainteresowanie autora panoramicznym ujęciem epoki i na jego wysiłki w kierunku uzyskania syntetycznych wniosków z przeprowadzonych badań.

W powieści jak i w dramatach zaskakuje Canetti niesamowitością proponowanego przez niego obrazu świata. Świat jego jest dwoisty — realny i zarazem fantastyczny. To co u Canetti'ego jest fantastyczne, nie jest jednak obce rzeczywistości. Sytuacje jak i postacie jego utworów są ekstremistyczne. Wszystko dzieje się na krawędzi szaleństwa, wszystkie postacie są niewolnikami pewnych namiętności, które prowadzą je, jak i cały świat do zagłady. Wszystko dzieje się u Canettiego poza światem rzeczywistym, ponieważ rolą literatury, jak mówi sam, jest wykorzystanie wszystkich szans nieprawdopodobnych. Stąd ta niezwykłość i groteskowość przedstawionego świata. Canetti przeżywając kryzys epoki, widząc rozkład wartości, wyraża swoje niezadowolenie i przeraża nie nie formą tragedii czy komedii, lecz groteską, która urasta do rozmiarów gigantycznych. Dlatego też profesor Uniwersytetu Oxfordzkiego J. Isaac porównał „Auto da fe" — powieść o rozpadzie wartości — z „Braćmi Karamazow" Dostojewskiego i „Ulissesem" James Joyce'a, a jasność alegorii tej powieści z wielkimi alegoriami Kafki. W powieści tej wszystko i wszyscy wirują w szaleństwie. Profesor Piotr Kien, światowej sławy sinolog, odsuwa się od świata go otaczającego, żyje tylko w królestwie swoich książek. Jego światem jest 25.000-tomowa biblioteka, którą potem nosi w swoim mózgu. Żyje on w świecie abstrakcji, gdzie wszelkie przedmioty straciły swoją wartości. Historia Kiena jest historią utraty człowieczeństwa. Powieść ta podzielona jest na trzy części: I „Głowa bez świata", II „Świat bez głowy", III „Świat w głowie" i przez te trzy etapy upadku przechodzi Piotr Kien. Stan jego zaślepienia zaczyna się samozaślepieniem. Przy jedzeniu czy też myciu zamyka oczy, aby nie widzieć przedmiotów go otaczających. Jest zagorzałym wrogiem przedmiotów. Miotany jest szaleństwem świata wydrukowanego. Kien zaczyna w końcu głosić szczególną teorię, według której ślepota jest bronią przeciwko marzeniom. I ten wyizolowany ze świata rzeczywistego człowiek żeni się, przez pomyłkę, ze swoją służącą tylko dlatego, że doskonale odkurza książki. Teresa jest jego czystym zaprzeczeniem. Kiedy on jest antymaterialistą, ona uwielbia przedmioty, opętana jest namiętnością ich posiadania. Nie tylko Kien i Teresa, ale i karzeł Fischerle który odgrywa dużą rolę w życiu profesora, żyje w swoim wyimaginowanym świecie. Jest on arcymarzycielem. Uważa siebie za mistrza szachów, marzy o bogactwie i sławie. Pfaff — dozorca domowy — znęca się znowu nad istotami słabszymi od siebie. Do czego doprowadzić może takie ogólne szaleństwo i zaślepienie? Canetti dowodzi, że doprowadza ono do rozkładu wartości i upadku kulturowego. Wszystkie postacie w tej powieści opętane są jakimś szaleństwem i w związku z tym nie widzą nic, bo kto widzi wszystko czarno, nic nie może widzieć. Wszystkie te postacie zasługują na auto da fe. Dlatego też V. Wedgood tłumacząc tę powieść na angielski w roku 1946 daje jej tytuł „Auto da fe", ponieważ tytuł oryginalny „Die Blendung" jest wielopłaszczyznowy i nasuwa bardzo dużo zresztą jak samo dzieło, interpretacji.

Świat w dramatach Canettiego, podobnie jak w jego powieści, jest również dwoisty, postacie są również psychologicznie organiczne i opętane przeróżnymi szaleństwami. W dramacie „Hochzeit" wszyscy opanowani są różnymi szaleństwami, do rozpusty seksualnej włącznie. W „Komedie der Eitelkeit" ludzie opętani są namiętnością niszczenia, nawet swojej osobowości a gdy ją utracili, oddają się znowu poszukiwaniu własnego „ja". W „Befristeten" myśl ludzi krąży tylko i wyłącznie wokół śmierci.

Zdegenerowane społeczeństwo i upadek człowieczeństwa przedstawione w utworach Canettiego służą autorowi do ukazania czasów kretynizmu duchowego i intelektualnego, kiedy to morderczymi zarządzeniami zdeformować chciano psychikę człowieka. Służy do ukazania faszyzmu, który był jednym z najbardziej wstecznych kierunków w historii ludzkości, bo przeczynił się do zahamowania kultury i wartości duchowych narodów, w których się rozwijał.

Canetti w utworach swoich które są dokładnym studium masy i władzy, odzwierciedlił prawidłowo nastrój psychiczny mieszczańskiego społeczeństwa niemieckiego przed wybuchem II wojny światowej i pokazał glebę, z której wyrósł hitleryzm.

ROMAN ŁOBODA

„Na szkle malowane" bardzo pięknymi barwami

„Janosik", bo taki jest tytuł sztuki Ernesta Brylla, którą Teatr Nowy w Łodzi wystawił w reżyserii **Jana Skotnickiego**, scenografii **Adama Kiliana** i choreografii **Jana Urygi** — to urocze i bardzo pięknymi barwami malowane przedstawienie. Barwy, to nie tylko z wielkim wyczuciem klimatu poetyckiego wykonana scenografia. Z poetycką wizją Brylla znakomicie synchronizuje muzyka „podautorki" utworu, **Katarzyny Gaertner.** „Spiewogra", jak słusznie i po polsku nazwał swój utwór autor „Rzeczy listopadowej", śpiewa i gra w rytmie beatowym i ten koloryt muzyki i słów stwarza nastrój weselno-bajkowy, gdzie wszystko jest prawdziwe i wszystko jest na niby.

Poetycka umowność tekstu i utrafienie w ten ton tradycyjno-ludowy i liryczno-groteskowy, co w poezji Brylla często znaczy to samo, ten ton to właśnie rzeczona przez wielu stylizacja. Bryll nie stylizuje sztuki na ludowo, on ludowością stylizuje poezję, co staje się nie tylko treścią, ale i klimatem treści, który odbiera się współcześnie. Nic więc dziwnego, że wątki ludowe w beatowym rytmie były częścią ogólnego kolorytu spektaklu, tak dobrze zorkiestrowanego przez reżysera.

W tej uroczej zabawie wykonawców żywy udział brała publiczność. Nieraz przychodziło mi już na myśl, że umowność jest jednym ze sposobów wciągnięcia do zabawy osób postronnych, chociaż by nawet ona (zabawa) nie była wesoła w swej istocie. Oczywistość tego stwierdzenia wydaje się prawie trywialna, jeżeli ją przenieść na grunt gier i zabaw towarzyskich.

Z dużym wyczuciem i zrozumieniem gatunku, a także uczciwą wiarą w odbiorców poddał Skotnicki próbie sceny utwór wyjątkowej delikatności, bo „na szkle malowany". Jakikolwiek manieryzm aktorski lub, co gorsze, wokalny, mógł zetrzeć delikatne barwy liryzmu i ironii zawarte w wartości tekstu, za który uważam poezję i muzykę „Janosika". Dowcipne pomysły, nie gagi, podkreślały liryczno-komiczne perypetie w urokliwej scenerii zamknięte. Piękne kostiumy i bezpretensjonalna choreografia dopełniały reszty.

W tym utworze ludowa naiwność jest tworem poetyckiego wyrafinowania i te infantylności muszą wyjść bez fałszu. Nie dziwię się, że we wrocławskiej operetce nie udało się Skotnickiemu to, co w Łodzi tak pięknie mu wyszło. Sądzę, że trudno mu było walczyć z zupełnie innym rodzajem umowności scenicznej, która z „siermiężną" szczerością nie ma wielu styków. Autor nie widział żadnych „kawałków" granych i solowych popisów — miało się grać i śpiewać jak na weselu góralskim. Tę spontaniczność artyści sceny Teatru Nowego uzyskali — nie sądzę, że bez wysiłku — wyniki się jednak liczą, a nie ilość wylanego potu na próbach.

Nie będę się rozwodził na temat szczegółów scenograficznych, ani opowiadał treści zbójnickiej bajki wymyślonej przez Brylla z dużym znawstwem tego typu legend. Czytelnikom prasy łódzkiej te rzeczy zostały już udostępnione. Pozostaje mi jedynie zachęcić wszystkich teatromanów, a nawet i tych, co do teatru rzadko zaglądają, do uczestnictwa w przepysznej zabawie, która jest niewątpliwym sukcesem Teatru. Tym zaś ciekawskim, którzy by chcieli dowiedzieć się szczegółów i nie pójść tym bardziej nic z „tych rzeczy" nie opowiem. Godzi się jednak i należy zamieścić parę ciepłych słów o wykonawcach, uważając, że reżyser, scenograf i choreograf otrzymali już swoją „dolę". Tym razem rad bym jeszcze i o nich więcej i o aktorach i o grupie beatowej „Bumerang" powiedzieć słów ciepłych, lecz niestety, nie samym teatrem pismo żyje.

Zapewniam wszystkich i przyjaciół i wrogów (?), że „na artystę" do Teatru Nowego się nie wybieram, nawet nie muszę siadywać w pierwszych parterowych rzędach widowni. Muszę jednak głosić, bo nie da się ukryć, że cały zespół grał dobrze.

Na scenę pierwsza weszła grupa beatowa i już było wesoło. Później opowiadacze: **Ryszard Dembiński i Bogusław Sochnacki** — tak sobie gawędzili, a opowiadali, swobodnie, z gazdowskim wdziękiem i było jeszcze weselej. (Żeby mi tylko miejsca starczyło!). Czekam i czekam na tę śmierć, a ona nie przychodzi. Aż przyszła. O laboga! Co za śmierć. Tak to można umierać i to nie raz. Umierał se też Janosik dość długo, a dokładnie z tą śmiercią, co tańczyła jak anioł **(Izabella Pieńkowska)** i nawet nikt później nie wiedział jak umarł. (I ja też.) Dalej nie powiem!

A jeszcze przedtem, to diabeł figlował **(Elżbieta Starostecka)** i z aniołem się „spodufalał" **(Barbara Wałkówna).** Diablik z nie lada talentem, też i śpiewał z wdziękiem, aż miło. Anioł również umiał kunsztownie się znaleźć. Tak i żandarmy się w to wszystko wdawały **(Ludwik Benoit, Zygmunt Malawski, Bolesław Nowak, Marian Stanisławski, Ryszard Stogowski).** A ten pierwszy to nawet kulawego „cysarza" odstawiał — tu Benoit znów klasą błysnął.

Zbójnicy harcowali **(Marek Barbasiewicz, Maciej Grzybowski, Jan Kasprzykowski, Eugeniusz Korczarowski, Bogusław Mach, Tadeusz Schmidt).**

Tańczono też sprawnie, choć teatr to, nie balet. Bardzo stylowa była w mowie i geście Swoja **(Zofia Grązlewicz),** a Dziewczyny swobodne i swojskie **(Barbara Chojecka, Barbara Gołębiewska, Maria Jasińska, Aleksandra Krasoń, Mirosława Maludzińska).**

Gibki był ten Janosik, żwawy a wyrazisty **(Maciej Grzybowski),** niby bitny a do miłości niemrawy. Ładnie to też wyszło z tymi zalotami Janosika ze Swoją — śmiesznie a lirycznie. Z założenia reżysera i z cienkiej gry aktorów wysnuło się też delikatne i pogodne wzruszenie. Zabawa jak rzadko kiedy.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW"

- **KAROL BADZIAK — Miasteczko nad Nerem**
- **ANDRZEJ MAKOWIECKI — Stówa za chawirę...**
- **ZOFIA TARNOWSKA — Wehikułem czasu przez Leżajsk**

oraz felietony, wiadomości ze świata, recenzje, nowela kryminalna i in.

Miasta i miejsca

Ludzie Czas

Dokończenie ze str. 4

rowa. Było ich dwóch braci, wielkich artystów cyrkowych, jeden działał tu, o drugim do tej pory krążą legendy w Polsce. Olbrzymi pomnik na grobie Durowa, który zmarł w trzydziestym szóstym roku. W ogóle o pomnikach na tym cmentarzu można by napisać bardzo wiele. Są piękne, są imponujące, i są (to niestosowne w tym miejscu) nie co śmieszne w swoim naiwnym symboliźmie, w schematyźmie — znany mistrz szachowy ma na nagrobku wyryte: szachownicę, skoczka i wieżę...

Tu leżą: Gogol, Czechow, syn Maksyma Gorkiego, wielu pisarzy, poetów, świetnych aktorów, wielu generałów, bohaterskich lotników, budowniczych Moskwy, słynnych uczonych. Prawie na każdym grobie, pod każdym pomnikiem świeże kwiaty.

Moskiewskie metro („Metropolitan im. W. I. Lenina") jest dla mnie autentycznym cudem wygody, nowoczesności i sprawnej organizacji. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś umiejący choćby sylabizować rosyjskie bukwy mógł w nim zabłądzić. Wielkie mapy świetlne gdzie za naciśnięciem guzika można się natychmiast zorientować gdzie jesteśmy, gdzie jest stacja, do której chcemy dojechać i jaką linią tam dotrzeć. Wszędzie tablice informacyjne. Wygodne, szybkie schody ruchome wiozące na każdy poziom, do każdej linii. I błyskawiczne, absolutnie bezpieczne pociągi kursujące z częstotliwością ok. 40 sekund. Świetna wentylacja, chłód w największe upały. Za pięć kopiejek można przejechać całą Moskwę wzdłuż i wszerz. W pociągach nigdy nie jest zbyt tłoczno. Często można w nich zobaczyć ludzi, którzy czytają tomiki wierszy. Tak jak u nas czyta się kryminały i powieści w odcinkach.

Stąd, z siódmego piętra wieży telewizyjnej w Ostankino (380 metrów w 57 sekund! — człowiek czuje się tak, jakby winda wylatywała w kosmos), z platformy dla zwiedzających, teren Wystawy Wszechrosyjskiej wydaje się maleńki. W rzeczywistości jest oczywiście bardzo wielki. Olbrzymie pawilony obrazują osiągnięcia poszczególnych dziedzin gospodarki i kultury Związku Radzieckiego, wiodą do nich wygodne szerokie aleje utopione w zieloności drzew, wśród krzaków różanych. Co kilkadziesiąt metrów fontanna ozdobiona figurami kamiennymi, kwiatami, symbolicznymi postaciami ludzi. Złoto, dużo złota.

Niedaleko stąd jest pomnik Zdobycia Kosmosu. Piękny nowoczesny, z daleka widoczny.

A oto i pawilon Kosmos, ściągający niezmiennie największą ilość zwiedzających. Przed nim — niby smukła biała wieża minaretu rakieta, która wyniosła na orbitę około ziemską statek kosmiczny z Jurijem Gagarinem. Olbrzymi dźwig — sucwnica trzyma w swych uchwytach trzydziestoośmiometrową budowlę metalową. Na samym jej szczycie, wyraźnie oddzielony od rakiety statek kosmiczny. Jaki mały!

To wrażenie potwierdza się w pawilonie, gdzie wystawiono modele wszystkich niemal pojazdów kosmicznych. Można — po odczekaniu swojej kolejki — zajrzeć przez niewielki, pancerny iluminator do środka. Ciasne są te mieszkania kosmonautów. Modele rakiet, sputników, łunników, pojazdy kosmiczne wysyłane na Wenus. Ubrania kosmonautów, kombinezon, w którym orbitował Leonow. Suche cyfry i dane: data, moc rakiety, ciężar pojazdu kosmicznego, przeznaczenie. Szczątki historii niezapomnianej i tej, o której w natłoku kosmicznych wydarzeń — zapominamy. Srebrny, na jeżony długimi antenami model pierwszego sputnika. Kabina, w której podróżowało pierwsze żyjące stworzenie — Łajka. Nowa era, era zdobycia kosmosu ma już swoje muzeum. Pasjonujące.

LUDZIE

W przytulnym, tuż nad rzeką Moskwą położonym kinie „Kijów" oglądam film pt. „Kwartira". Shirley MCLaine, Jack Lennon w rolach głównych — czyli po prostu „Garsoniera". Wychodzę z kina ze znajomymi, pytam jak im się podobało. „Owszem" — powiadają „podobało się. Ale z moralnego punktu widzenia jest to film niebezpieczny".

O dwunastej w nocy Moskwa już śpi. Właśnie zamykają najdłużej czynne restauracje. Światło na ulicach lekko przygasa. Metro będzie czynne jeszcze tylko przez godzinę.

Ale nie śpią moskwiczanie. O dziesiątej zaczynają się w sobotę spotkania towarzyskie — dwunasta to akurat czas na najlepszą zabawę. Idę wraz z przyjaciółmi na przyjęcie urodzinowe do ich kolegów z pracy. Wraz z nami — dziesięcioosobowe towarzystwo. Sporo wódki, wina. Straszliwe ilości jedzenia, przerażające nawet dla przedstawiciela narodu, który lubi i umie dużo zjeść. Gęste toasty, anegdoty, przez cały czas gra bardzo głośno magnetofon. A za raz potem apel do gościa. Jest poetą, więc niech zwyczajem wszystkich rosyjskich poetów powie przy stole wiersz. Swój, zaraz, oczywiście na pamięć... Poeta się wykręca — następny punkt programu — śpiewanie. Piękne, wielogłosowe. Potem znów do gościa: dlaczego nie śpiewasz? Jakie znasz rosyjskie pieśni? Kalinka? Katiusza? Kazaczok? Jest w tych podpowiedziach spora porcja ironii. Tak, przecież na Zachodzie to takie modne... Dlaczego przejmujecie nasze pieśni stamtąd, a nie od nas? Bezpośrednio? Dlaczego dopiero Zachód nobilituje? I dlaczego znacie tak mało?

I płynie następna piosenka: „Oczy czarne". Znacie ją, to z repertuaru Charlesa Aznavoura...

MIEJSCA

Moskiewski port lotniczy. Szeremietiewo. Kiedy tu przyleciałem świeciło słońce, teraz chmury wiszą nisko, kapie deszczyk. Za godzinę będę w Leningradzie. Już wywołują pasażerów rejonu 1133. Wsiadamy do Tu-104. Do widzenia, Moskwo!

MAREK WAWRZKIEWICZ

Przeszłość i teraźniejszość

Proste słowa o Śląsku

Zbyt jestem zmęczony tuż przed wyjazdem na urlop, bym mógł przekonać się do sięgnięcia po jakąś trudną książkę. Wątpię też, czy czytelnicy „Odgłosów" spędzać by chcieli urlopowy czas na jakiejś trudnej lekturze naukowej — ja tego nie potrafię, choć umiem czytywać poważne książki w pociągu czy w samolocie. I dlatego biorę ze sobą kilka łatwiejszych — jak mi się zdaje — lektur, takich, które nie będą wymagały ode mnie dużej koncentracji uwagi, które będą się czytały same. Ale czyż bywają takie książki historyczne?

Można by było wiele o tym mówić. Nie o to mi jednak chodzi. Na postawione pytanie odpowiem twierdząco. Są takie książki i oto jedną mam właśnie przed sobą. Tytuł jej: „Proste słowa o Śląsku". Autorem jest zmarły przed dwoma laty wybitny historyk, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, Karol Maleczyński, a wydało ją „Ossolineum" jako kolejny, dziewiąty już tomik popularnej „Biblioteki Wrocławskiej" (1970). Niewielki ten tom zawiera wybór prac uczonego, dotyczących dziejów Śląska i Wrocławia, pisanych w różnych latach a przeznaczonych dla najszerszego kręgu czytelników. Większość ich była już niegdyś drukowana w różnych zbiorowych wydawnictwach, tylko jeden szkic, zatytułowany „Rzut oka na dzieje Wrocławia", będący odczytem wygłoszonym w 1963 roku w auli uniwersytetu dla Polonii Kanadyjskiej, opublikowano tutaj po raz pierwszy.

Nie myślę streszczać tej książki Autor był mediewistą, badaczem dziejów średniowiecznych, autorem licznych rozpraw z tego zakresu, dotyczących historii Polski i powszechnej, był znawcą nauk pomocniczych historii i wydawcą średniowiecznych źródeł. Jest tedy naturalne, że problematyka średniowieczna przeważa również i na kartach tej książeczki.

Skoro już tak jest, czego nie myślę krytykować, to można zgłosić pod adresem redaktora książki pewne pretensje. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego nie przedrukowano tu znakomitej pracy autora o wojnie polsko-niemieckiej z 1109 roku, wydanej niegdyś we Wrocławiu w 1946 roku, dziś już tak trudno dostępnej? Jest ona napisana świetnie, może ją czytać każdy miłośnik przeszłości, nie straciła nic ze swej naukowej wartości, a dotyczy bardzo ważnego epizodu z wielowiekowych zmagań polsko-niemieckich, jakim była sławna, opiewana przez Anonima Galla, wyprawa władcy niemieckiego Henryka V przeciwko Polsce Bolesława Krzywoustego.

Sądzę, że z różnych względów praca ta zasługiwała na przypomnienie, w każdym razie znacznie bardziej, niż okazjonalny i słabszy od innych tekst pt. „Na wieczne czasy powróciły do Polski Ziemie Odzyskane", który otwiera omawiany tomik. Kontrastuje on zdecydowanie zbyt mocno z pięknym esejem o dziejach związków politycznych Śląska z Polską od czasów najdawniejszych do najnowszych, który słusznie stanowi jakby oś całego zbiorku.

Swoją drogą z dorobku profesora Maleczyńskiego wybrałoby się więcej tekstów, godnych przypomnienia. Myślę tu nie tylko o jego pracach dotyczących dziejów Śląska — zajął się nimi na dobre dopiero od 1945 roku, po przeniesieniu się ze Lwowa do płonącego jeszcze wówczas polskiego Wrocławia. Pamięć podsuwa mi na przykład dawną rozprawę autora o owej Ryksie czy Rychildzie, córce Władysława II Wygnańca, cesarzowej Hiszpanii i hrabinie Prowansji, czy znacznie mniej egzotyczną w przedmiocie, klasyczną dziś, choć nieco zestarzałą pracę o najstarszych targach w Polsce. To tylko wyrywkowe przykłady, jako że było by się nad czym zastanawiać, gdyby chciało się komu dokonać wyboru z bogatej twórczości uczonego. Czemuż tego kiedy nie uczynić?

W wielu krajach, zwłaszcza na Zachodzie, jest w zwyczaju, że skoro wybitna książka naukowa jest wyczerpana, wydawca proponuje jej kolejną edycję. W ten sposób i dorobek historiografii jest wciąż ogólnie dostępny, aż do tego, co się zowie „nasyceniem rynku". W sytuacji, kiedy po wybitne dzieła historyków chcą sięgać coraz to nowe roczniki kształcących się ludzi, to nasycenie jest w praktyce utopią. Mam wrażenie, że u nas mało się o tym wszystkim myśli, że wskaźniki i wykonywanie planów wydawniczych przesłaniają czasem to, co się zowie polityką kulturalną, do której przecież i wydawnictwa są powołane. Ale o tym można by napisać cały wielki tom.

JÓZEF GRZELAK

ZYGMUNT MARCZEWSKI

O teatrze dla wszystkich

Opracowania monograficzne „ludzi teatru" sukcesywnie przybywają na wystawy „Domu Książki", kuszą estetyczną obwolutą i nierzadko sylwetką artysty w charakteryzacji i kostiumie. Tenże dział edycji z umiarem dawkowany nie czeka długo na czytelnika, jeżeli uwarunkowany jest równie ciekawą treścią, co rzetelnym ujęciem tematu.

„Andrzeja Mielewskiego Teatr Popularny w Łodzi" pióra MARII KACZOROWSKIEJ-HERMANOWEJ jest książką w równej mierze zaspokajającą gusty czytelników biegłych w sprawach Melpomeny, jak i tych, którzy po przeczytaniu mogą spojrzeć na teatr współczesny z perspektywy rozleglejszej i przez to z większą powagą traktować jego dzisiejsze problemy.

Autorka od pierwszych już stron wprowadza w łódzką „oazę" w tzw. „nie wyrobioną teatralnie" metropolię, gdzie stworzenie sceny korespondującej ze specyficznym odbiorcą — jak dowodzi historia teatrów łódzkich — od początku trafiało na irracjonalne przeszkody. Teatr masowy, powszechny, przystępny dla każdego, z jednoczesnym zachowaniem wysokiej rangi artystycznej i repertuarowej, to przecież marzenie (często niedoścignie) każdego dyrektora.

W jaki sposób poradził sobie Andrzej Milewski z owym dylematem na trudnym gruncie łódzkim w 1910 roku, tworząc obok Zelwerowicza drugą placówkę, równorzędną poziomem artystycznym, a wreszcie bijącą na głowę starszą konkurentkę — opowiada książka Marii Kaczorowskiej-Hermanowej.

I nie to, że zagłobowskim „sposobem zażył" Zelwerowicza przez umożliwienie publiczności konsumpcji sztuki po znacznie niższej cenie biletów, darmowych programów i bezpłatnej szatni, nie mając jednocześnie żadnego mecenatu, nie to przechyliło szalę sympatii publiczności. Rzucił przede wszystkim atrybut nieprzeciętnej osobowości twórczej oraz repertuar, który w okresie jego kadencji olśnił widza bogactwem wartości; od klasyki światowej po dramaturgię współczesną — problemową. Repertuar Teatru Popularnego nie tylko trzeszczy w szwach ilością i doborem premier, stąd zamieszczony w aneksach kalejdoskop pozycji repertuarowych na przestrzeni trzyletniej kadencji Teatru Popularnego wprowadza czytelnika w nerwicowe podniecenie — ale jest też przykładem umiejętnej polityki repertuarowej, winnej rezonować w aktualnych przemianach społeczno-politycznych, a także penetrować strukturę moralną jako magna charta humanitatis, nie zaś a'la carte.

Autorka podkreślając wysoki kunszt reżyserski i aktorski Mielewskiego zwraca uwagę na rodowód tychże wartości, wziętych od Wyspiańskiego: mistrzowskie operowanie ensemblem, zrozumiałą już wówczas funkcję muzyki i światła w pointowaniu scen poszczególnych, adekwatne historyczne dekoracje i kostiumy, projektowane przez Andrzeja Mielewskiego na marginesach kart egzemplarza reżyserskiego. Wreszcie opierająca się na relacjach żyjących po dziś współpracowników łódzkiego nowatora — autorka cytuje wypowiedzi, z których dowiadujemy się, że już przed pół wiekiem byli artyści, którzy środkami wyrazu aktorskiego nie odbiegali od współczesnych pojęć sztuki aktorskiej — będąc „w postaci" potrafili mówić nie deklamować swoje role. Byli oni też związani magią teatru i koleżeńską solidarnością w sposób dla nas imponujący. Choćby na przykładzie ilości premier w miesiącu (sic!) uwarunkowanej frekwencją. Monografia jest poparta okazałym materiałem bibliograficznym i faktograficznym, do którego autorka odwołuje się często. Ilustracje fotosów z rodzinnego archiwum Mielewskich zbliżają czytelnika do świata teatru. Autorka podkreśla rolę recenzji teatralnych w kształtowaniu opinii społecznego odbioru sztuki. Podoba się wydobycie się sprawnie kształtowana w opowieści sylwetka Andrzeja Mielewskiego, przez lekką dezynwolturę sprawy charakterologiczne, rzutujące w konsekwencji na jego postawę wobec niesprzyjających okoliczności. Podoba się też u autorki epatowanie do skrótów myślowych. Zwięzłe wypunktowanie w kilku zaledwie rozdziałach długiej i żmudnej drogi do priorytetu w sferze moralnej społeczeństwa, jaką jest działanie artysty. Widocznie uważna i czuła na zakulisowe rozgrywki autorka, na przykładach koegzystencji wybitnych indywidualności — konfliktowych w końcu — w sposób nie zamierzony postuluje konieczność wyboru drogi; dobro teatru a przewartościowanie skali talentu jaką w jaźni pielęgnują artyści. Iskry to niebezpieczne dla zespołu, którym z natury rzeczy winien być dobrze pojęty teatr — całość służąca społeczeństwu.

Edycją o Teatrze Popularnym Andrzeja Mielewskiego, Wydawnictwo Łódzkie jeszcze raz udokumentowało troskę o ten rodzaj lektury. Debiut literacki Marii Kaczorowskiej-Herman wywołuje asocjacje i determinuje w kierunku przykładów zapoznanych teatrów doby dzisiejszej. Pasja i niekłamane zaangażowanie, podświadomy moralizatorski ton utworu w penetrowaniu przeszłości łódzkich teatrów, stawia młodą pisarkę w świetle korzystnym i rokuje nadzieję, że następne prace będą również jak debiut — podmiotowo kuszące.

Maria Kaczorowska-Herman; „Andrzeja Mielewskiego Teatr Popularny w Łodzi", Wydawnictwo Łódzkie, 1970, str. 185

JERZY ANSICHT

„OSNOWA" — LATO 1970

Almanach „Osnowa" utrwalił się już w łódzkiej tradycji — najnowszy numer „Lato 1970" jest bodaj trzynastym z kolei. Piszę „bodaj" bo zmieniały się formaty, redaktorzy, okładki i koncepcje — stoją teraz poszczególne egzemplarze na różnych półkach mojej biblioteki, trudno obliczyć który to już numer i chyba szkoda, że nie zadbano o uwidocznienie owej ciągłości kolejnym mumerem tomu.

Jest to zresztą jedyna pretensja do redaktorów „Osnowy". Bo oto latem mamy tom „Lato" tak jak wiosną mieliśmy tom „Wiosna" co już jest ewenementem, zważywszy ciągłe trudności z drukarnią. Drzewiej bywało z reguły tak, że poszczególne tomy ukazywały się z paromiesięcznym (w najlepszym razie) opóźnieniem. Nie jest to szczegół być może najistotniejszy, bo ważniejsza jest zawartość, aleć zawsze świadczy o sprawności Wydawnictwa.

Najnowsza „Osnowa" — nie piszę „letnia" aby nie sugerować krzywdzących skojarzeń — jest tomem ciekawym i zróżnicowanym. Podtytuł „Literatura, Nauka, Sztuka" ma swoje coraz bardziej rzetelne uzasadnienie. „Osnowa" prezentuje obok literatury także ciekawe rozważania łódzkich naukowców — z powodzeniem kontynuuje rozpoczęte cykle sylwetek aktorów i plastyków.

W bieżącym numerze mamy więc Jerzego Waldena szkic o sztuce aktorskiej Jerzego Przybylskiego oraz Jana Czarnego prezentację grafiki Benona Liberskiego. Ciekawy i przynoszący wiele niebanalnego materiału socjologicznego jest także fragment pracy prof. Antoniny Kłoskowskiej pt. „Ramy kultury w społeczności lokalnej" — wynik badań przeprowadzonych w Bełchatowie w latach 1963—1966.

Z warsztatu historyków „Osnowa" prezentuje rozprawkę Aleksandra Barszczewskiego pt. „Polska i Polacy w życiu Hercena" oraz szkic Bogdana Rogatko „Juliana Marcniewskiego artykuły o sztuce".

Z kręgu problematyki historyczno-literackiej znajdziemy Natasona o zaginionej sztuce Szaciekawe rozważania Wojciechaniawskiego, Janusza Skoszkiewicza szkic o miłości w życiu i książce Alain-Fourniera, Jerzego Tyneckiego uwagi na marginesie „Ulissesa", artykuł Konrada Frejdlicha o sztuce przekładowej Jerzego Wyszomirskiego oraz Tadeusza Błażejewskiego esej o Ziemiach Zachodnich w literaturze polskiej. O problematyce rytmu w sztuce pisze Henryk Anders a Andrzej Grun prezentuje grafikę książkową Wydawnictwa Łódzkiego.

Bogato reprezentowana jest także literatura i to nie tylko twórczość autorów łódzkich. Tom otwiera opowiadanie Jana Marii Gisgesa i proza poetycka Jana Bolesława Ożoga — zamykają natomiast Jerzego Lisowskiego przekłady fraszek starofrancuskich. Ponadto mamy sporą porcję wierszy — Konrada Frejdlicha, Ewy Lipskiej, Igora Sikiryckiego, M. M. Szargana, Henryka Hartenberga, Witolda Sułkowskiego, Jerzego Wilmańskiego.

Numer uzupełniają polemiczne uwagi Wiesława Jażdżyńskiego pt. „Zwierzenia prowincjonalnego wydawcy", noty i uwagi (z doświadczeń działalności oświatowej, z łódzkiego konserwatorium) oraz dział recenzji. W tym ostatnim wypadku na podkreślenie zasługuje fakt rozszerzenia kręgu autorów o pióra spoza Łodzi (Adam Włodek) i ze środowiska młodych naukowców (Zbigniew Bokszański). Ten ostatni „plus" dotyczy zresztą w jakimś sensie całej „Osnowy" — krąg współpracowników staje się coraz szerszy i to dobrze świadczy o polityce redakcyjnej almanachu.

Piszę uparcie „almanachu" aby nie zapeszyć. Przez lata całe o „Osnowie" zwykło się mówić jako o kwartalniku, choć było to raczej pismo, które „wychodzi kiedy chce" albo raczej „kiedy może..." Dziś kiedy zarówno profil „Osnowy" coraz bardziej przylega do tego co zwykliśmy uważać za kwartalnik, dziś kiedy rytmiczność publikacji jest w zgodzie z kalendarzem — piszę „almanach". Czynię to na zasadzie analogii a'rebours — ufny, że może, choć w ten magiczny sposób „Osnowa" stanie się wreszcie kwartalnikiem w całym tego słowa znaczeniu. Takiej bowiem trybuny potrzebują już od lat środowiska literackie, artystyczne i naukowe Łodzi.

„Osnowa" — Lato 1970. Wyd. Łódzkie. Red. naczelny — Jan Huszcza, zespół — Mirosław Ostoja i Marian Piechal.

Fot. W. Parys

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

Marynarz z „Alcora"

Obudził się nagle — podrywając gwałtownym ruchem głowę z poduszki i wciągając głośno, łapczywie powietrze, jak człowiek wybity ze snu czyimś ostrym, niecierpliwym szarpnięciem. Nadsłuchiwał przez moment, ale to tylko butelka, zrzucona przechyłem ze stołu, turkotała obijając się o nogi fotela.

„Alcorem" kiwało coraz potężniej. Statek przechylał się w prawo i w lewo z regularnością wahadła, skrzypiał i dygotał. Z wnętrza szuflad i szafy odpowiadał mu stukot przesuwających się bez ładnie rzeczy, a źle zamocowany klosz lampy akompaniował tym hałasom denerwującym werblem szybkich, nie przerywanych uderzeń.

Przez chwilę chłonął ciemność, jak chłodny, przynoszący ulgę kompres, a potem sięgnął po zegarek i nie chcąc zapalać światła — włączył radio — sprawdzając godzinę w nikłym blasku rozjaśnionej skali. Do wachty pozostawało sporo czasu. Można było jeszcze leżeć, zapomnieć, nie przejmować się tym wszystkim co odbierało mu spokój od paru dni, ale...

Nagle poczuł przypływ energii, zapragnął zerwać się, wyjść, odetchnąć świeżym powietrzem, stanąć twarzą pod wiatr, zapalić... Kiedy wstał i sięgnął po kurtkę ból w skroniach wrócił jednak znowu z ostrym ukłuciem — jak wczoraj, jak przed paroma godzinami. Powoli zaciągał suwak, namacał w kieszeni papierosy; błysnął płomyk zapałki wzięty szybko — z nawyku — w ochronę stulonych dłoni. Papieros jednak nie smakował. Zaciągnąwszy się jeszcze raz zgasił pośpiesznie niedopałek i wyszedł na pokład.

Wiatr owinął go zaraz szczelnie, wepchnął w usta gęstą kluchę powietrza i rzucił w twarz ostre bryzgi wody. Szedł powoli, prawie bokiem, pochylony, przystając od czasu do czasu i szeroko rozstawiając nogi. Na rufie niełatwo już było ustać. Zwalił się ciężko na burtę podpierając z wysiłkiem łokciami i ledwie łapiąc oddech. Czuł w kolanach drżenie pokładu, charakterystyczną wibrację wywołaną pracą maszyny, czuł jak statek zapada wraz z nim w dół, w wielką jamę otwierającą się pośród stromych gór wodnych, jak dźwiga się później z trudem i mocno kładzie na lewą burtę.

Każdy przechył wydawał się coraz groźniejszy i głębszy, żołądek podszedł do gardła w nagłych skurczach i wtedy... kiedy wychylił się mocniej, gwałtowny wstrząs poderwał go i rzucił bezwładnie do przodu, a wielka, wystrzelająca w górę tuż przy burcie, fala zmiotła go błyskawicznie w ciemność...

*

Tego dnia ranek był ponury i chłodny, a niebo szczelnie zakryte nisko wiszącymi chmurami, których strzępy zdawały się wlec po falach niczym gigantyczne welony. Ocean, parę dni temu jeszcze błękitny, teraz był ołowiano-szary, a wzmagający się coraz bardziej wiatr nie wróżył nic dobrego. Szliśmy przez Biskaj — słynną wśród marynarzy wszystkich nacji zatokę, będącą jednym z największych na świecie cmentarzysk okrętów — obok Cieśniny Magellana, Kanału La Manche i „Bramy Łez" — u wejścia na Morze Czerwone.

„Oleśnica" przebijała się ciężko przez fale, idąc kursem północno-wschodnim na Avonmuth w Anglii. Za nami, w odległości około 120 mil pozostał przylądek Finisterre i jedna trzecia trudnej biskajskiej drogi. Dochodziła godzina dziewiąta. Byłem akurat na mostku wprowadzany, jak co

FELIKS BĄBOL

WŁÓKNIARSKA RODZINA

Powiedz mi, co robisz po pracy, a powiem ci kim jesteś. Sposób spędzania czasu wolnego od zajęć zarobkowych jest bowiem wizytówką duchową człowieka, uzewnętrznia jego aspiracje i ambicje życiowe. Bardzo często sposób wykorzystania czasu wolnego może świadczyć jeszcze o czymś innym — obrazuje cele, które człowiek chciałby zrealizować. Na przykład krawiec chodzący na wieczorowe kursy mechaniki precyzyjnej, albo sprzedawca z domu towarowego — uczący się przy pomocy telewizji wyższej matematyki. Czas wolny więc odsłania w wielu przypadkach potrzebę zmiany osobistej sytuacji człowieka, zwłaszcza jeśli dotychczas wykonywany zawód nie daje pełni satysfakcji życiowej, jeśli wykonywana praca jest punktem wyjścia do zatrudnień umysłowych wyższego rzędu, bardziej skomplikowanych i odpowiedzialnych.

W Łodzi od szeregu lat rozważa się i bada problem wolnego czasu podstawowej grupy pracowników przemysłowych, jaką stanowią włókniarze. I to — bada się od dwóch stron. Najpierw chodziło socjologom o to, aby w ogóle wymierzyć ten czas, jaki każdy włókniarz ma w swej dyspozycji z chwilą zakończenia zmiany, a poza tym — co robi z tym wolnym czasem. Spojrzenie pierwsze było już przedmiotem wielu artykułów publicystycznych w prasie codziennej i związkowej. Przypomnijmy najważniejsze stwierdzenia na ten temat.

A więc przede wszystkim takie fakty, wynikające z badań przeprowadzonych przez Ośrodek Badawczy przy Zarządzie Głównym Związku Włókniarzy i następnie uogólnione przez socjologa. Socjolog — dr Józef Marczak — podaje, że włókniarki pracujące na trzy zmiany i wychowujące dzieci, dysponowały w okresie przeprowadzania tych badań — bardzo nieznaczną ilością czasu wolnego w ciągu dnia. Badania nad młodzieżą pracującą w wieku do lat 21 wskazywały, że dziewczęta w dni powszednie dysponowały 3,5 godzinami czasu wolnego, a młodzi włókniarze — 4 godzinami. Zebrane niedawno materiały, dotyczące włókniarek zamężnych, posiadających po dwoje dzieci, sygnalizują, że 10 proc. kobiet nie dysponuje w ogóle wolnym czasem, 25 proc. ma do dyspozycji 1 godzinę dziennie, 49 proc. — od 1,5 do 2 godzin dziennie, natomiast 16 proc. — powyżej 2 godzin.

Jak wynika z badań, ilość czasu wolnego zależy w dużym stopniu od odległości miejsca zamieszkania od miejsca pracy (wcale nie wyjątkowe są sytuacje ludzi, którym ze zmęczenia i niedospania zamykają się oczy w pociągach i tramwajach podmiejskich). Sądzę jednak, że od znikomości czasu wolnego zależy także jakość jego wykorzystania, bo przecież jasne jest, że — jeśli człowiek ma do swej dyspozycji godzinę czy półtorej dziennie — nie będzie podejmował zbyt ambitnych zamierzeń kulturalnych, kształcących czy zgoła intelektualnych. Po prostu wyjdzie z domu do najbliższego parku czy na skwer i tam posiedzi na ławce.

A więc dojazd do pracy, a więc zakupy, a więc pranie w domu. Mimo stałego rozwoju miejskiej komunikacji, wzrostu ilościowego sieci autobusowej i tramwajowej, mimo tego, że autobusy od jakiegoś czasu przestały spełniać rolę uzupełniającą w stosunku do sieci tramwajowej i stanowią już samodzielny środek komunikacji między miejscem zamieszkania i śródmieściem Łodzi, a miejscem pracy — mimo tego wszystkiego — przeciętnie włókniarze tracą na dojazd do pracy i z pracy do domu 1 godzinę swego czasu dziennie, włókniarki zaś na zakupy tracą około pół godziny dziennie (również przeciętnie), pranie natomiast zabiera (u 60 proc. badanych kobiet) — dalszą godzinę w ciągu dnia.

Spojrzenie na problem z drugiej strony — ujawnia sposób wykorzystania czasu wolnego włókniarzy, charakteryzuje się w jakimś stopniu środowisko. Spośród wielotysięcznej rzeszy rodzin włókniarskich w Łodzi wybrano tylko rodziny, w których oboje rodziców pracuje w przemyśle włókienniczym, w których jest dwoje dzieci do lat 14. Jeśli więc się przyjmie warunki, jakim musiały odpowiadać ankietowane rodziny, łatwo dojść do wniosku, że niezależnie od niewielkiej ilości ankietowanych rodzin — sześćdziesiąt — i tak jest to podstawa badawcza dość reprezentatywna.

W tych badaniach — zakończono je przed kilkoma tygodniami — specjalistom z Ośrodka Badawczego Związku Włókniarzy pomagali również studenci-socjologowie z Uniwersytetu Łódzkiego. Odwiedzali oni ankietowane rodziny włókniarskie, zapoznawali się z ich życiem od podszewki, był to więc nader cenny dla niejednego młodego człowieka rekonesans poznawczy, w niektórych przypadkach zaś — pierwsze prawdziwe spotkanie z życiem ludzi pracy. Ale przejdźmy do problemu.

W pytaniach skierowanych pod adresem ankietowanych notowano również ilość zmian w fabryce, w której ankietowany pracuje. Jest to ważny moment, bo w systemie 3-zmianowym daleko trudniej wygospodarować sobie czas na podjęcie jakichś systematycznie realizowanych zajęć kulturalnych, co tydzień bowiem szarpią człowieka inne godziny pracy, inny cykl snu i odpoczynku, a przestawić się na inne cykle nie tak łatwo. Wśród badanych zanotowano ponad połowę takich rodzin, które właśnie pracują w systemie trzyzmianowym. Tych rodzin było 27. Gdy jednak porównać odpowiedzi na pytanie dotyczące ilości zmian i systemu pracy w fabryce z odpowiedziami na pytanie: ile czasu poświęca pan, pani na udział w życiu społecznym — wnioski były zaskakujące.

Bo okazało się, że ludzie pracujący w systemie 3-zmianowym, a więc w systemie przewracającym nieraz wszystko do góry nogami — poświęcają na te cele więcej czasu od swych kolegów zatrudnionych tylko na 2 lub na 1 zmianę. Oto owe dane: 5 włókniarzy poświęca na kontakty z życiem społecznym od 1 do 2 godzin tygodniowo, 5 — od 2 do 10 godzin tygodniowo, a 3 włókniarzy — nawet powyżej 10 godzin tygodniowo. Jednocześnie okazało się, że na 27 rodzin włókniarskich pracujących na trzy zmiany aż w 14 rodzinach udział w tym, co nazywamy życiem społecznym, jest sprawą zupełnie nieznaną. A więc powyżej połowy rodzin stoi na uboczu zjawisk otaczającego świata, wzruszeń, przeżyć, doznań.

I tu dochodzimy do wniosku, że ważną rzeczą w środowisku włókniarskim (i nie tylko włókniarskim) są tradycje przekazywane z pokolenia na pokolenie. Te tradycje każą w każdym pokoleniu sadzić kwiaty przed domem, muzykować na jakimś instrumencie, trzymać się zawodu tkacza czy przędzalnika, te tradycje zmuszają całe pokolenia do poświęcania czasu sprawom publicznym, one kształcą społeczników. Można w Łodzi spotkać wiele takich rodzin, w których z ojca na syna przekazuje się iskrę społecznikowską. Dziadek był czynny w ochotniczej straży fabrycznej, ojciec organizował zespoły orkiestrowe na podwórkach, syn jest w zespole akordeonistów. Więc na 27 rodzin włókniarskich, w których ojcowie rodzin pracują na trzy zmiany — nie ma widocznie tych tradycji aż w 14 rodzinach.

Podobne rozgraniczenie ujawniające stosunek do świata zewnętrznego obserwujemy również wśród włókniarzy pracujących na 1 czy 2 zmiany. Wśród siedemnastu 1-zmianowych zanotowano aż czternastu włókniarzy nie biorących udziału w życiu społecznym, czyli jak mówimy — nie udzielających się, wśród szesnastu 2-zmianowych robotników — aż dziesięć osób stojących na uboczu zjawisk. Warto tym problemem zająć się chyba nie tylko socjologom, fotografującym nasz dzień dzisiejszy, ale i praktykom ze związków, działaczom z rad narodowych i innym ludziom, którym leży na sercu rozbudzanie szerszego zainteresowania sprawami, które mieszczą się na wielkim obszarze poza 8 godzinami fabrycznej zmiany, poza pracą, poza zwykłą konsumpcją.

Fot. A. Wach

Ciekawe są również dane dotyczące czytania. Chodzi i o książki i o gazety. Z książkami jest tak: własne księgozbiory na 60 rodzin wyselekcjonowanych w omawianych badaniach posiada tylko 2 rodziny i w odpowiedziach ankietowych podaje, że czyta tylko własne książki. 19 rodzin czyta książki pożyczane w bibliotekach fabrycznych i miejskich, ale 42 włókniarzy (na 60) w ogóle nie czyta książek. (I jak tu dostać się pod tak zwane strzechy?). Odpowiedzi na pytanie dotyczące jakości, rodzaju lektury zaprzeczają nieco powszechnej opinii o popularności tzw. kryminałów w środowisku robotniczym. Największą poczytnością wśród badanych osób cieszą się książki historyczne, a kryminały zajmują drugą pozycję w hierarchii popularności, kolejną lokatę zajmują książki przygodowe i inne.

Jeśli chodzi o czytelnictwo gazet, tylko niecałe 10 proc. ankietowanych odpowiedziało, że w ogóle nie czyta pism codziennych, natomiast wśród czytających największym powodzeniem cieszą się: Głos Robotniczy (39), Express Ilustrowany (18), Dziennik Łódzki (17), Trybuna Ludu (3) a inne gazety czytają 3 osoby. Sondaż na temat zagadnień, którymi interesują się ankietowani czytelnicy — włókniarze dał następujące wyniki: na pierwszym miejscu pod względem zainteresowań znalazł się... sport (31), potem polityka (30), wszystkimi zagadnieniami interesuje się 5 osób. Wśród najczęściej czytanych czasopism na pierwszym miejscu zanotowano tygodnik „Dookoła Świata" na drugim „Przekrój", na trzecim „Karuzelę" i „Szpilki". Notabene — na 60 włókniarzy dwa te pisma satyryczne czytają jedynie 3 osoby.

I jeszcze w sprawie kina i teatru. Blisko połowa ankietowanych włókniarzy w ogóle nie chodzi do teatru, 5 osób chodzi bardzo rzadko, 17 — do trzech razy w roku, a 11— powyżej trzech razy w roku. Z kinem jest jeszcze inaczej: obojętność wobec kina wykazało 28 osób, bardzo rzadko chodzi dom 6 osób, 21 osób odwiedza tę muzę od 1—3 razy w roku, a tylko 5 osób — powyżej trzech razy w roku.

Osoby badane miały średni wiek 40 lat, można więc powiedzieć, że wszystkie dane i wnioski odnoszą się do reprezentatywnej tzw. dojrzałego społeczeństwa ludzi pracy. Jest jasne, że w kwestii frakwencji kinowej i teatralnej aktualne są nadal opinie o oddziaływaniu telewizji, dającej pewne satysfakcje kulturalne bez potrzeby ruszenia się z domu. Jest jasne, że rację mają ci ludzie, którzy na ostatnio przeprowadzonych w Łodzi spotkaniach radnych z wyborcami postulowali wcześniejsze rozpoczynanie spektakli teatralnych.

Można mówić o repertuarze mniej lub więcej trafiającym w tzw. przeciętne upodobania masowego widza. Można dyskutować, czy w naszych warunkach książka jest tania czy droga, czy stanowi artykuł powszechnie dostępny czy nie stanowi.

Ale przecież zostanie jeszcze cały szereg wniosków na tematy, które ankieta Ośrodka Badawczego Zw. Włókniarzy ujawniła i uwypukliła, tematy dotyczące konsumpcji kulturalnej, możliwości awansu kulturalnego i w ogóle postępu intelektualnego w środowisku włókniarskim. Ankieta rzuciła tylko snop światła na pewne problemy. Teraz wypadałoby zająć się tymi problemami.

---

dzień, przez III oficera w tajemnice sztuki nawigowania, kiedy do sterówki wszedł radiooficer wołając już od progu: „Man overboard! Człowiek za burtą!" — Co — gdzie — jak? Przecież nie było sygnału! Na co czekamy? — pytałem gwałtownie, wiedząc już, że w takim wypadku trzeba natychmiast...

— Ach nie, to tylko depesza. Depesza z Uessant — dokończył szybko „radio". — Stacja brzegowa koło Brestu podaje, że wczoraj, około północy, na niemieckim motorowcu „Alcor" stwierdzono brak jednego z członków załogi. A oto rejon, gdzie spodziewają się znaleźć tego nieszczęśnika: szerokość 45 stopni i 56 minut — Nord oraz długość 7 stopni i 18 minut — West.

Pochyliliśmy się wszyscy nad mapą. „Trzeci" zaznaczył na niej szybko podaną pozycję, wpisał datę, podał naszą odległość: ponad 80 mil.

— A więc my — zacząłem...

— Niestety, my nic tu już nie zdołamy pomóc — dokończył „Trzeci". — Za daleko, a poza tym minęło już tyle godzin, że w tych warunkach...

Cóż, to było zupełnie jasne — w tych warunkach, w wodzie o temperaturze zaledwie 12 st. C, przy takiej fali tamten człowiek nie miał właściwie żadnych szans. Jak długo utrzymywał się przy życiu? Minuty, kwadrans, może godzinę...? Nie — to niemożliwe. Gdyby to było gdzieś bliżej na południe, to kto wie — może wytrwałby dłużej? — zastanawialiśmy się głośno — choć tam z kolei rekiny i barakudy zmniejszyłyby znowu te szanse, jaką dają ciepłe, tropikalne wody.

W tej chwili drzwi od sterówki otworzyły się i stanął w nich „radio" z nową depeszą w ręku: kapitan „Alcora" zawiadamia, że zakończył poszukiwania. A więc i oni...

— Stracili nadzieję, chciał pan powiedzieć — wpadł mu w zdanie „Trzeci". — Ale i tak długo szukali, prawie 10 godzin...

— Wiesz jak się to odbywało? — zwrócił się do mnie i nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej: — Kiedy w morzu, nagle stwierdza się brak kogoś z załogi, trzeba szybko ustalić, kto i kiedy widział go po raz ostatni. Nieważne, że faktycznie wypadek mógł się wydarzyć parę godzin później. Chodzi o to, aby określić pozycję, jaką statek zajmował o tej porze, kiedy ów facet na pewno był jeszcze na pokładzie. Pozycja ta będzie punktem, do którego statek powróci, idąc przebytym już szlakiem i powtarzając ten manewr tak długo, dopóki istnieć będzie szansa na uratowanie lub chociażby odnalezienie ciała zaginionego. Ci z „Alcora" na pewno wracali wielokrotnie.

— I nie znaleźli — powiedziałem. — A jeśli przypadkiem natrafimy na niego my?

— Wtedy... „Trzeci" spojrzał na mapę: — To mało prawdopodobne, ale wówczas zawiadomimy tamten statek, stację brzegową i odwieziemy zwłoki do najbliższego portu lub... po prostu, pod biało-czerwoną banderą pochowamy je w morzu...

W sterówce panowała znów cisza. „Radio" dawno już wyszedł „Trzeci" zaczął szperać wśród jakich wykresów i tablic, marynarz przy sterze obserwował w skupieniu tarczę kompasu, ale kto wie... może wszyscy myśleliśmy przez chwilę o tym samym...?

*

Tego dnia wracałem na mostek wielokrotnie. Kolejne wachty zastawały na mapie napis „man overboard", oficerowie sprawdzali pozycję i odległość, wysupływano z pamięci zasłyszane kiedyś historie o marynarzach, którzy zabrani z falą za burtę wytrzymali w morzu kilkadziesiąt godzin i doczekali się w końcu pomocy. „Ale nie tu — nie w tej wodzie..." — przypominali inni.

To prawda. Nie było już sensu wypatrywać czegokolwiek na wznoszących się coraz wyżej szczytach fal, w pokrytych pianą kotlinach, zakrywanych niesionym z wiatrem pyłem wodnym. Wieczór był równie ponury i zimny jak ranek. Tu, na skrzydle mostku, wiatr przenikał do głębi, lornetka przybliżała niewiele mglistą szarość horyzontu i podnosiła wyżej ku oczom jedynie gejzery pian strzelające wysoko u burt „Oleśnicy". Jak to się mogło stać? — myślałem — może spał, obudził się nagle, zapragnął wyjść, zapalić papierosa, szedł nieostrożnie i wtedy...

...fala zalewała usta, ubranie ciążyło jak pancerz, zimno obezwładniało, paraliżowało ruchy...

Nie tylko Barbarella

Nazywają ją „najmądrzejszą aktorką Hollywoodu". Ma 33 lata. Grała już w 27 filmach. Obecnie amerykańska gwiazda bierze aktywny udział w szerokim ruchu protestacyjnym przeciwko awanturniczej polityce Białego Domu. Kiedy Jane Fonda staje przed tysiącami demonstrantów i w namiętnym przemówieniu demaskuje obłudną politykę rządu, oklaskuje ją cała postępowa Ameryka. Poniżej publikujemy fragment wywiadu z J. Fondą.

„WORLD MAGAZINE" — NOWY JORK

„Wychowywałam się w liberalnej rodzinie, ale nigdy nie zastanawiałam się nad związkiem pomiędzy problemami kraju i mojego życia. Do zamążpójścia mieszkałam w Europie. Tam dowiedziałam się, że wybuchła wojna wietnamska. W Europie miałam dostęp do informacji, których się w Ameryce nie publikuje.

Widziałam w telewizji francuskiej, jak amerykańskie lotnictwo bombardowało północny Wietnam, jak lotnicy rzucali bomby na wsie, w których nie było żadnych obiektów wojskowych, tylko kościoły, szpitale, szkoły... Pokazywano, jak straszliwe spustoszenia wśród niemowląt, kobiet i starców sieją bomby zwane „wściekłymi psami", bomby wypełniane setkami tysięcy stalowych odłamków. Mówię szczerze — nie wierzyłam własnym oczom.

Przed samym powrotem do Stanów przebywałam w Indiach, i tam zaczęłam się zastanawiać nad sytuacją polityczną, rozmyślać o biedzie, głodzie, wojnach.

Im więcej widziałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że moje próby niesienia pomocy ludziom, więc apele, zbiórki pieniężne na różne cele walki politycznej, wywieranie nacisku na kongresmenów i tym podobne akcje są naiwne i mało znaczące.

Byłam jeszcze w Europie kiedy w USA rozpoczęto nagonkę na „Czarne Pantery". Później, spotykając się z członkami tej organizacji, przekonałam się, że nie jest to organizacja rasistowska. Już sama myśl, że ta bojowa grupa ludzi może zjednoczyć wszystkich uciskanych Murzynów, śmiertelnie przeraża rząd możnych.

Ostatnie dwa miesiące spędziłam w rezerwatach Indian, byłam w bazach wojskowych i w wojskowych kawiarniach, a także w sztabach organizacji „Czarne Pantery". Zrozumiałam, że samą nie znajdę żadnego rozwiązania. Nie wiem, jakie wnioski wyciągnę z moich obserwacji i przemyśleń i dlatego, być może, nie zdecydowałam się jeszcze, jak mam ukształtować moje działanie. Wiem tylko, że chociaż dobrze mi się powodzi w państwie kapitalistycznym, to jednak system, w którym mniejszość eksploatuje większość nie może i nie powinien istnieć. Ten i ów sądzi, że jeśli w naszym rządzie zastąpi się złych ludzi dobrymi, to od tego coś się zmieni. Sądzę, że gdyby nawet na wszystkich stanowiskach w Waszyngtonie umieścić samych świętych, to i tak nic by się nie zmieniło, ponieważ cały ten system jest przegniły od góry do dołu i kiedyś powinniśmy o tym powiedzieć całemu społeczeństwu. Rzecz w tym, że w sytuacji uciskanych znalazła się nie tylko biała bieda, Murzyni, Portorykańczycy czy Indianie. Jesteśmy wszyscy uciskani i wyzyskiwani.

Wiele podróżuję po kraju. Do Santa Fe przyjechałam w dniu, w którym Nixon złożył oświadczenie, w sprawie Kambodży. Poprosiłam o pozwolenie wystąpienia na uniwersytecie stanowym, wcześniej nie miałam okazji spotkania się ze studentami. Miało to miejsce tego samego dnia, kiedy policja zastrzeliła 4 studentów w Kent. Na mityng przybyły tłumy. Wysunięto żądanie, zawierające pięć punktów. Poszliśmy z tym żądaniem do dziekana. Później sprawa poszła wyżej, a teraz uniwersytet jest zamknięty: było kilka groźnych incydentów.

Myślę, że Nixon rozszerza wojnę również na teren studenckich miasteczek. Zwołuje konferencje prasowe i oskarża jakichś podżegaczy i im podobnych. Czy naprawdę nie rozumie, dlaczego wybuchają rozruchy? Przecież to takie jasne. Winę ponosi on sam. On sam i jego system...

Walcząc z bezrobociem

„NEWSWEEK" — CHICAGO

Każdego dnia, około godziny szóstej rano, pojawia ją się na cuchnących, nie zamiecionych ulicach Chicago. Zimą, chłostani nieraz lodowatym wichrem, cierpliwie i apatycznie wyczekują godzinami na otwarcie 23 biur pośrednictwa pracy. Bezrobotni...

W Chicago, jednym z większych ośrodków przemysłowych USA, wegetuje około siedmiu tysięcy takich „jednodniowych robotników". Prasa nazywa ich reprezentantami „dna", „wyrzutkami cywilizowanego społeczeństwa". Są to przeważnie albo imigranci, albo ludzie bez żadnego zawodu, albo po prostu alkoholicy. Tych, którym się poszczęści, biura zatrudnienia kierują

do kopania kanałów, transportu mebli, do zastąpienia chorych robotników, którzy pracują przy transporterach, słowem do jakichkolwiek zajęć, za które można dostać parę dolarów.

Kiedy po zakończonej pracy wracają do domów, biura zatrudnienia są już zamknięte. Ale nie martwi to „wybrańców losu", wiedzą bowiem, że należność w czeku urzędnicy przekazali właścicielowi najbliższej piwiarni. Tam mogą go odebrać.

W taki właśnie sposób, już od niepamiętnych czasów, pracują biura pośrednictwa pracy. Owe „targi niewolnikami" jak się je w mieście powszechnie nazywa, istnieją niemal we wszystkich większych miastach amerykańskich. Ale nigdzie nie prosperują tak znakomicie, jak w brudnym, niechlujnym i wielożycznym „białym getcie" — Chicago, zamieszkałym przez Meksykanów, Kubańczyków, chińskich imigrantów i uchodźców z górzystych rejonów Appalachów, często nawiedzanych przez klęski żywiołowe. Większość ludności tego „getta" nie ma zawodu, wielu nie zna języka angielskiego. Przeto, praktycznie biorąc, „targi niewolnikami" są dla nich jedyną szansą na otrzymanie dorywczej pracy i tych paru dolarów. Z kolei właściciele biur pośrednictwa pracy mają na uwadze wyłącznie własne korzyści materialne i bez sentymentów wykorzystują beznadziejną sytuację swoich klientów.

Zarobek robotników dniówkowych oblicza się, niemal z reguły, według minimalnych stawek, ustalonych przez związki zawodowe, choć biura pośrednictwa pracy pobierają od zlecenio dawców sumy dwukrotnie większe. Obok tego, robotnicy tej kategorii nie otrzymują ani dodatków za pracę nadliczbową, ani za pracę w niedziele i święta.

Raz zdobywszy „klienta-robotnika", biura starają się utrzymać go w ręku i wyeksploatować. Popierają pijaństwo, utrzymują go w nadziei na otrzymanie pracy również nazajutrz. I w taki sposób biura bez skrupułów handlują swoim „towarem", co przynosi im, prawie zawsze, sto procent zysku.

TP OBIEKTYW

POWRÓT STARSZYCH PANÓW

Kabaret Starszych Panów wymienia się z reguły jako jeden z najbardziej udanych cyklów programowych w rozrywce telewizyjnej. Nie jest to jednak równoznaczne ze stwierdzeniem, że Kabaret podobał się wszystkim, czy nawet przytłaczającej większości.

Dla przeciwstawienia przypomnieć można powszechny sukces kapitana Klossa. Był to typ bohatera, który podbił niemal wszystkich niezależnie od wieku, wykształcenia i innych cech różnicujących społeczeństwo. Siłą Klossa tkwiła między innymi w jego prostocie, jednoznaczności i bezdyskusyjnej słuszności intencji.

Ze starszymi panami rzecz ma się inaczej. Nie pretendują oni do roli społecznego wzorca, nie mają ambicji, by stać się idolami, dostarczycielami zastępczych wzruszeń i przeżyć. Kloss prowadził niebezpieczne, bogate w przygody życie jakby za nas wszystkich. Mogliśmy się z nim utożsamiać, by w swoją zwyczajną codzienność wnosić element romantyzmu i przygody. Starsi panowie sami są zbyt codzienni, by móc w ten sposób fascynować.

Typ humoru, jaki reprezentują, nie trafia do wszystkich. Nie ma zaś rzeczy, która bardziej człowieka denerwuje, jak sytuacja, gdy wokół niego wszyscy się śmieją, a on nie może zrozumieć dowcipu. Dlatego starsi panowie mają naturalnych oponentów w tych, którzy proponowanego przez nich komizmu nie rozumieją, nie trawią.

Dowcipy Przybory i Wasowskiego wywodzą się z humoru nonsensownego, czy dosłownie tłumacząc z angielskiego — z czystego nonsensu. Nonsensowne, nierealne są sytuacje, nonsensowny, nierealny świat, w którym starsi panowie się obracają. Jest to forma zamierzonego zniekształcania rzeczywistości, w której żyjemy, traktowanie jej jak gdyby była z rozciągliwej gumy. Kabaret nie był jednak mechanicznym zbiorem absurdalnych dowcipów. Miał w osobach starszych panów znakomite lepiszcze spajające różne elementy w jedną całość.

Polegało to na tym, że starsi panowie traktowali każdą najbardziej nawet nonsensowną sytuację z powagą i szacunkiem. Rzeczy najdziwaczniejsze spotykały się u nich ze zrozumieniem. Była to postawa niemal filozoficzna. Świat nasz jest dość skomplikowany i zaskakujący, by niczemu się nie dziwić. „Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się waszym filozofom".

Przeciętnego człowieka cechuje mały realizm. Ocenia świat miarą swych skromnych doświadczeń osobistych. Starsi panowie podejmują satyryczną walkę z taką wąską interpretacją życia, wykpiwają wszelkie schematy myślowe, bezużyteczne wobec złożoności zjawisk, które nas otaczają. Śmiech, jaki wywołują, jest właśnie śmiechem bezradności i zagubienia w gąszczu spraw, niemożności ich shierarchizowania.

To nie zarozumialstwo, lecz skromność leży u podstaw tego humoru. Skoro bowiem zawodzi hierarchia spraw, to starszym panom nie pozostaje nic innego, jak odnosić się z szacunkiem do każdej sprawy, choćby była najabsurdalniejsza. Nie ma patentu na wszechwiedzę i mądrość, dlatego bądźmy skromni — tak wydają się pouczać swoich odbiorców luminarze kabaretu.

Kabaret Wasowskiego i Przybory spełniał niewątpliwie pewne funkcje wychowawcze. Na tle panoszącego się, niestety, dość powszechnie braku delikatności uczuć, niechęci do okazywania zrozumienia drugiemu człowiekowi, postawa starszych panów stanowiła ewidentny kontrast, nacechowana była kulturą w stosunku do innych. A w dodatku ich surrealistyczne dowcipy stanowiły niezłą gimnastykę dla umysłów.

Telewizja, dzięki opanowaniu techniki telerekordingowego zapisu, może dziś odtwarzać programy nadawane w przeszłości. Tak więc powrócili na ekran także starsi panowie. Dla tych, którzy potrafią dokopać się niewątpliwych wartości tkwiących w ich kabarecie, wznowienie cyklu jest nie lada frajdą. Tele-obiektyw zajmuje pod tym względem jednoznaczną postawę: T-O lubi i ceni starszych panów.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Tytuł amerykańskiego filmu „DO-CZEKAĆ ZMROKU" jest symboliczny. Akcja tego thrillera rozgrywa się między czterema osobami, z których trzy to silni i zdrowi mężczyźni, czwarta zaś mająca tamtych pokonać — to kobieta nie tylko „słaba", lecz również niewidoma. Stąd właśnie symboliczność tytułu. Starcie ostateczne, przynoszące rozwiązanie, odbędzie się wówczas, kiedy szanse przeciwników zostaną mniej więcej zrównane; kiedy mianowicie ślepa kobieta, Audrey Hepbourn, rozbije lampy i każe swym prześladowcom działać, podobnie jak ona, w ciemności.

Jest to zarazem policzek, jaki twórcy filmu wymierzają sami sobie w odwet za dokonaną charakterystykę postaci. W przyzwoitym thrillerze nie przeciwstawia się bowiem stron tak oczywiście nierównych. Thriller należy do gatunków filmowych dość przewrotnych. Niby wygrywa utajoną w nas potrzebę grozy i jako taki opiera się przede wszystkim na emocjach. Jednakże akcja thrillera zwykła przebiegać w myśl reguł, w których względy uczuciowe mniej ważą jako argumenty za takim bądź innym posunięciem, czy taką lub inną interpretacją postaci. Tym co się liczy, są spryt i szybki refleks, zatem przymioty, które ze sferą uczuć mają niewiele wspólnego. Dlatego wprowadzenie do akcji kaleki stanowi — z punktu widzenia thrillerowej fair-play — chwyt poniżej pasa. Ślepota bohaterki rozgrzesza ją nie tylko z wszystkiego, cokolwiek uczyni. Pełna współczucia sympatia dla Audrey Hepburn staje się nakazem, zaś człowiek dorosły wolałby, przynajmniej w dziedzinie rozrywki zachować złudzenie swobodnego wyboru faworytów...

Może zresztą dobrze się składa, że ani przez chwilę nie pozwolono nam wybierać. Zainteresowanie, z jakim śledzimy akcję filmu, okazuje się sadystyczne, jeśli zważyć, że rzecz dotyczy znęcania się nad kaleką. Wobec czego fakt, iż lubimy panią, pani Hepburn, wybawia nas od strachu z powodu własnych ujawniających się nieoczekiwanie, krwiożerczych instynktów.

Co do sposobu opowiedzenia tej historii, która wywodzi się ze sztuki teatralnej Fredericka Knotta, to uczy on cenić smak prawdziwego filmu. Gdyż, jak trafnie wyraził się krytyk angielski, David Austen, na łamach „Films and Filming", reżyser Terence Young stworzył adaptację, „która jest wściekle „teatralna", nie będąc ani przez chwilę „sceniczną" ". Określenie „teatralna" oznacza, że akcję posuwa naprzód dialog, nie zaś — po filmowemu — obraz. Natomiast określenie „nieseniczna", które ma komplementować pracę reżysera, znajduje uzasadnienie w częstej zmianie planów, nieosiągalnej jak wiadomo w teatrze, lecz w filmie stanowiącej coś, co rozumie się samo przez się.

*

„PRZYGODY JUANA QUIN-QUINA'," kubańskiego chłopa, który nie chciał być chłopem, lecz wolał zostać kubańskim Fanfanem, bądź Tomem Jonesem, mają urok ludowego prymitywu. I tak należy je odbierać, bez zbytniego krytycyzmu, swobodnie, wyzbywszy się utartych i zracjonalizowanych mniemań o akcji toczącej się logicznie, o budowie dramaturgicznej, w której każda rzecz ma swoje miejsce. Słowem, trzeba odbierać ten film w sposób równie świeży i nieuczony, w jaki go zrobiono. Jeśli Juan ima się różnych zajęć, jeśli z ministranta przeistacza się w toreadora, a walkę kogutów porzuca, by przyłączyć się do guerilleros, więcej — by stać się ich przywódcą — my także powinniśmy postarać się o giętkość wyobraźni, dorównującą fantazji i energii życiowej Juana.

Wydaje mi się, że wolno porównać budowę tego filmu z kompozycją spotykaną u malarzy ludowych. Bowiem podobnie, jak na ich obrazkach, gdzie koń lub dom lub cokolwiek innego, czego akurat zapragnął artysta, pojawia się, powiedzmy w środku nie bacząc na prawa ciążenia, zawieszone dowolnie i bynajmniej nie mające zamiaru spadać — tak samo i tutaj, w „Przygodach Juana Quin-Quina", filmowe ujęcia nie poddają się zwykłemu porządkowi. Wątki poświęcone poszczególnym przygodom rozpisane zostały jakby na głosy. Są podemowane przez różnych opowiadaczy, którzy przekrzykują się i przeszkadzają sobie nawzajem. W tym także jest wdzięk, tyle że od widza, który chciałby poznać całość danej przygody, wymaga się uwagi. Z siły tego wdzięku zdaje sobie sprawę u nas Ernest Bryll, również powierzający wielu osobom przedstawienie losów Janosika w „Na szkle malowanym".

W istocie nie ma nic dziwnego w takim pozornie amorficznym naiwnym układzie. Właściwym twórcą filmu jest autor książki, na której go oparto, Samuel Feijóo, poeta, malarz i pisarz. Jego obrazy — jako malarz zaliczany jest do prymitywistów — stanowią sensację Paryża, o książce zaś powiedziano, iż „jest to dobra powieść, kubańska, chłopska, nie przeglądana i nie poprawiana przez Butora". Złośliwość recenzenta wobec Butora, sztandarowego twórcy nowoczesnej anty-powieści, jest oczywista. Znużony eksperymentowaniem Paryż zwrócił się najwidoczniej ku opowiastkom prostym i niewyszukanie, naturalnie madrym. Zło ma w nich wciąż tę samą, niezmienną twarz wyzyskiwacza — jeden aktor gra w „Przygodach..." trzy role: burmistrza, plantatora i administratora cukrowni, co kojarzy się ze zwyczajem ludu polskiego, który Diabła przedstawia zawsze w stroju Niemca. Feijóo zbierał te opowiastki chodząc po górach, a oddał czytelnikowi bez szlifu, w postaci, w jakiej sam je słyszał.

Paradoks chciał, że książka trafiła w ręce reżysera z pretensjami, Julio Garcia Espinosa. Chłopską swobodę narracyjną płynącą z głębin spontanicznej fantazji pomieszał on ze środkami nowoczesnego kina, które także, lecz z odmiennych, wyrafinowanych przyczyn tasuje czasy i miejsca akcji. Tam, gdzie oryginał Feijóo zdołał oprzeć się zabiegom Espinosy — film jest czarujący. Tam, gdzie zwycięża Espinosa, powstaje niestety podejrzenie, że obsługa projektora pomyliła rolki filmu.

ZASTĘPCA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

PISANE LEWĄ NOGĄ

Christy Brown pisze lewą nogą. Ściślej — małym palcem lewej nogi. Bo Christy Brown od urodzenia jest kaleką, nie chodzi, nie włada palcami rąk. Palcem

Christy Brown

Christy Brown

lewej nogi uderza w klawisze maszyny do pisania. A to co pisze, jest według określenia jednego z angielskich wydawców „po prostu zadziwiające". Inny, nowojorski wydawca uważa Browna za „najbardziej lirycznie utalentowanego pisarza od czasu Dylana Thomasa", zaś monachijskie wydawnictwo przygotowujące w języku niemieckim nową powieść Browna traktuje ją jako sensację roku wydawniczego.

Kim jest Christy Brown? Ma obecnie 37 lat. Urodził się w Irlandii, w Dublinie, w dzielnicy slumsów. Był z kolei dziewiątym spomiędzy dwadzieściorga dwojga dzieci, z których przy życiu utrzymało się trzynaścioro. Głową tej licznej rodziny był z zawodu murarz, z nałogu pijak, który gromadkę swej dziatwy edukował przy pomocy pasa. Tylko Christy nie był bity, bowiem Christy nie mógł zrobić i nawet nie umiał mówić. Nawet dziś mówi niewyraźnie i zrozumieć go mogą tylko jego najbliżsi. Matce zawdzięcza Christy życie, bowiem ona oparła się stanowczo namowom sąsiadów, aby skończyć z kalekim dzieckiem. Ona też, zauważywszy pewnego razu, że Christy odebrał nogą swojej siostrzyczce kredę z ręki, uznała, że jednak w chłopcu „coś jest". Mimo nawału zajęć, kłopotów, walki z biedą, matka nauczyła w ciągu długich lat czytać i pisać swego ułomnego syna.

Gdy Christy Brown miał 21 lat napisał pod kierunkiem ortopedy, a równocześnie miłośnika literatury dr Roberta Collinsa, swą pierwszą autobiograficzną książkę pt. „My Left Foot" (Moja lewa noga). Dziś Christy nie jest zadowolony z tego pierwszego swego dzieła, ale „Lewa Noga" ukazywała się w odcinkach, na łamach jednego z londyńskich pism kobiecych, budząc powszechne zainteresowanie. Przetłumaczona też została na kilka obcych języków. Za dość duże honoraria z powieści autor kupił sobie m. in. elektryczną maszynę do pisania, na której znacznie łatwiej mu pisać nogą niż na zwykłej.

Nowa powieść pt. „Down all the days", która wyszła w Londynie, stanowić ma pierwszą część zamierzonej trylogii. Oparta jest, jak poprzednia, na materiale autobiograficznym i bogactwie spostrzeżeń chłopca zamieszkałego w dzielnicy nędzarzy. Bowiem mały Christy mimo swego kalectwa poznał otoczenie wędrując na swym małym wózku jaki zmajstrował mu jego ojciec. Daleko do sielanki obrazowi jaki maluje w swej powieści Brown. Jest to świat gdzie skrajna nędza wyzwala w człowieku niskie instynkty i gdzie alkohol i zwyrodniały seksualizm przeżerają obyczaje środowiska. Do najmocniejszych partii książki należą podobno te fragmenty gdzie autor dał upust swej fantazji, swym marzeniom, swym wizjom i snom. Wiele tu uroku, autentycznych przeżyć i liryzmu.

Co pocznie Brown z wysokimi honorariami które przynosi mu jego ostatnia książka wiedzą dobrze jego przyjaciele. Podobno pisarz zamierza nabyć knajpę, a on sam — jak to wyznał do swych przyjaciół — ma być w niej swoim własnym i najwierniejszym klientem. Bo Christy Brown nie stroni od alkoholu, choć w swych niewładnych palcach nie może unieść kieliszka. Kiedyś powiedział w gronie przyjaciół, że jest jedynym człowiekiem, który wypija kieliszek od spodu, bowiem wódkę wypija przez słomkę.

ZBIÓR POŚWIĘCONY BRANCUSIEMU

W Bukareszcie ukazał się liczący trzysta stron, luksusowo wydany zbiór wierszy i tekstów poświęcony jednemu z najwybitniejszych rzeźbiarzy naszych czasów Brancusiemu. Książka zawiera wiersze i wypowiedzi wybitnych poetów i artystów głównie francuskich i szwajcarskich, ale także i innych jak np. Austriaka Rilke'go czy Belga Pierre Bourgeois. Zbiór został bogato ilustrowany przeważnie szkicami Brancusiego.

Przypomnijmy krótko, że Constantin Brancusi (czyt. Brancuzi) (1876—1957) urodził się w Pestisani koło Turgujiu w Rumunii. Studiował rzeźbę w Akademii Sztuk Pięknych w Bukareszcie. Od roku 1904 osiedlił się na stałe w Paryżu. Niemal od samych początków swej kariery artystycznej wypracowywał sobie własny, oryginalny styl. I tak np. odrzucił pomoc Rodina, wybitnego i sławnego rzeźbiarza francuskiego, mówiąc, że „w cieniu wielkiego drzewa nic nie wyrasta". Koncepcja rzeźbiarska Brancusiego polegała głównie na odkrywaniu czystych form w naturze.

Brancusi przez wiele lat był nie dość ceniony w Paryżu. W roku 1937 w Rumunii niedaleko miejscowości rodzinnej, w Turgujiu stanęła monumentalna rzeźba Brancusiego zatytułowana „Nie kończąca się kolumna" — falisty, stalowy słup jakby podtrzymujący kopułę nieba.

Na kilka lat przed śmiercią rzeźbiarz doczekał się w pełni sławy i uznania. Wywarł znaczny wpływ na twórczość młodszych od siebie rzeźbiarzy. Do najznakomitszych dzieł Brancusiego należą m. in. rzeźba na grobkowa zmarłych małżonków „Pocałunek", „Uśpiona muza", „Początek świata", abstrakcyjna figura „Księżna X" i „Ryba".

PO RAZ PIERWSZY KOBIETA BALETMISTRZEM

Po raz pierwszy w historii Opery Paryskiej kobieta została baletmistrzem — informuje tygodnik „Paris-Match" kreśląc sylwetkę 36-letniej Claude Bessy.

W roku 1967 kiedy kariera tej wybitnie utalentowanej tancerki baletowej była niemal w pełni ugruntowana, gdy miała za sobą liczne sukcesy sceniczne zarówno we Francji jak i za granicą, Claude Bessy zostaje ciężko ranna w wypadku samochodowym. Przez jakiś czas istniała obawa czy uda się ją w ogóle utrzymać przy życiu. Przypuszczano, że w każdym razie nie będzie mogła już tańczyć. Ale w niecały rok po skomplikowanej operacji kolana, Claude Bessy zjawiła się na scenie by wziąć udział w balecie „Dafnis i Chloe". Uważano to niemal za cud, widzowie powstawszy z miejsc nagrodzili jej występ szalonymi owacjami, zasypali ją kwiatami. Tylko sama Bessy wiedziała ile wysiłku, samozaparcia i uporu i bólu trzeba było, aby osiągnąć ten sukces. Bowiem Bessy na kilka miesięcy przed występem baletowym forsownie trenowała, a na pierwszą próbę zjawiła się wsparta na kulach. W chwilę potem, ku zdumieniu koleżanek i kolegów, odrzuciła kule i włączyła się do normalnych ćwiczeń.

Dodajmy nawiasem, że mianowanie Claude Bessy baletmistrzem zespołu Opery Paryskiej łączy się ściśle ze zmianami w składzie osobowym kierownictwa. Jak wspominaliśmy o tym w swoim czasie kierownikiem tego zespołu był do niedawna Roland Petit. Chciał on podobno zmodernizować balet i zreorganizować go według swych projektów. Popadł jednak w konflikty personalne i ustąpił ze stanowiska. Kierownictwo przejął po nim, znany łodzianom z występów swego baletu w maju br., Maurice Bejart, który bardzo liczy na współpracę Bessy.

Bez strachu

Doczekałem telewizji...

Doczekałem telewizji. (Obiecywał mi to w dzieciństwie czcigodny starzec... Należysz do szczęśliwego pokolenia, wołał, dane Ci będzie oglądać telewizję!). Doczekałem, oglądałem niegdyś często... teraz tylko niekiedy...

Doczekałem rozbicia atomu — energii termojądrowej, niszczycielskiej i twórczej (tego nikt mi w dzieciństwie nie obiecywał).

Doczekałem pierwszych ludzi na Księżycu (tego nikt mi w dzieciństwie nie obiecywał — to miało być udziałem dalekich, przyszłych pokoleń).

Doczekałem zatem więcej niż obiecywano, a przecież w pewnym sensie mniej... Liczyliśmy niegdyś naiwnie, że pierwszy ludzki bez pośredni kontakt z Księżycem oznaczał będzie zdobycie Księżyca, objęcie go w pełnię posiadania ze wszystkimi księżycowymi dobrami. Okazało się, że jest to efektowny początek długotrwałego procesu. Telewizja weszła natychmiast w nasze życie, weszła jednak raczej szeroko niż głęboko. Przypuszczalna skala wartości zdobyczy cywilizacji okazała się błędna, nie jest ani lepiej, ani gorzej niż oczekiwano — jest inaczej, nieskończenie inaczej... Wiek dojrzały nie przynosi dojrzałej twórczości, nazwa „dojrzały poeta" budzi przerażenie, przywodzi na myśl nekrolog, nagrobek i inne rekwizyty pośmiertne. „Dojrzały poeta" — poeta, który doczekał dojrzałości, jest jako poeta martwy — recenzja tak go określająca, to przemówienie pogrzebowe... Poeta żyjący to poeta młody, niedojrzały, szukający, popełniający błędy. Biada temu, który napisze książkę doskonałą, idealną, bezbłędną — lepiej gdyby dał twór grafomański, lepiej, by mu było, gdyby się nigdy jako twórca nie narodził. Nigdy nie będę pisał ze spokojem, nigdy nie dam rzeczy udanej, zamkniętej — nie przeżyłbym chyba wstydu po takiej demonstracji. Doskonałe można było pisać, może niegdyś w dawnych epokach, może jeszcze w minionym stuleciu... Pisać doskonale dzisiaj, to przekreślać czytelnika, odgradzać się od niego, rezygnować ze współpracy... Wolę błędy i nieporadność od estetyzmu — błędy można poprawiać w czytaniu, w odbiorze, w myśleniu, dostrzeżona nieporadność formy u tego, który ma sporo do powiedzenia, wzrusza, wzbudza sprzeciw. Estetyzm wzbudza pogardę, estetyzm nie jest zwalczany przez ludzi, bowiem jest nieludzki, automatyczny — jest demonstracją nie humanistycznej fikcji, fikcji śmierci kultury.

Doczekałem tego, że mogę napisać co myślę o sztuce i tego, że będzie to drukowane i czytane. Doczekałem tego, że po długiej zimie przyszło małe lato. Mądrzy ludzie mówią

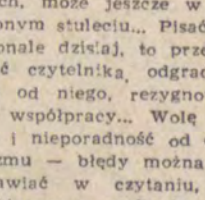

o rychłym (gdzieś za 5—6 tysięcy lat) powrocie lodowca. Doczekałem tego, że mogę własnym drobnym doświadczeniem kontrolować obietnice przyszłości.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Czwarty tom Putramenta

KSIĄŻKA O KTÓREJ SIĘ MÓWI — UWAGI DLA DZIAŁACZY — SPORTOWE PARADOKSY — PAMIĘTNIK RACJONALISTY — ZŁOTA MYŚL PUTRAMENTA — RZETELNY ZAPIS ATMOSFERY — KLUCZ JEST ZBĘDNY

Zacznę od paradoksu. Są książki tak pasjonujące, że nie sposób je po prostu recenzować. Są to książki, które się czyta, o których się rozmawia, książki, których co celniejsze fragmenty opowiadamy sobie w tawarzyskich pogawędkach... Taką książką jest „Pół wieku" Jerzego Putramenta.

W księgarniach niejednokrotnie słyszałem tego lata — w Łodzi i Krynicy, w Warszawie i Krakowie — pytanie: „czy jest czwarty tom Putramenta?" Jerzy Putrament napisał wiele książek, ale ów „czwarty tom Putramenta", określenie które wszyscy rozumieli, dotyczyło kolejnego, oczekiwanego tomu wspomnień z lat 1950—1955.

„Literaci" — taki jest tytuł „czwartego tomu Putramenta", ale nie jest to książka o literatach, to znaczy nie jest to książka tylko o literatach. Jest to przede wszystkim książka o Polsce lat trudnych, pełnych paradoksów i patosu, śmiesznostek i błędów.

Jest to książka, którą specjalnym zarządzeniem należałoby zalecić specom od propagandy, tym działaczom — którzy zagubieni w biurokratycznej machinie gubią z oczu cele działania, zafascynowani mechanizmem hierarchii. Z książki Putramenta, która jest już właściwie opowieścią historyczną, wypływają bowiem wnioski i nauki na dziś.

Bo posłuchajmy: „Administracyjne działanie polega na sprawozdawczości. Jeśli podwładny może zameldować, że instrukcja została wykonana, jest spokojny, bo kryty... (...) Że to dało skutki wprost przeciwne, urzędnika to nie boli. Jest kryty. Polecenie wykonał. (...) Urzędasy, niestety, są i będą jeszcze długo potrzebni. Więc nie jestem przeciw nim. Ale nie wolno ich używać do spraw poważnych, jak np. polityka i sztuka, z literaturą na czele. W polityce — politycy. To jest tacy, którym chodzi o osiągnięcie celu, a nie zabezpieczenie się przed gniewem przełożonego".

Uwagi te — zawsze i wszędzie aktualne — wypowiada Putrament na marginesie spraw sportowych z lat pięćdziesiątych, na marginesie wydarzeń takich jak to: „We Wrocławiu był mecz krakowskiej „Gwardii z jakąś radziecką drużyną. Stała się niespodzianka: do przerwy „Gwardia" prowadziła 1:0. W przerwie zebrała się egzekutywa KW: co robić? Grozi nam błąd polityczny. Coś tym graczom szepnięto, mecz skończył się remisem albo nawet „politycznie słusznie" zwycięstwem gości".

Urzędnicy byli kryci, ale to zalgane lizusostwo wyrządziło ogromne społeczne szkody. Putrament pisze o tym nie tylko aby dać świadectwo prawdzie, ale byśmy na dziś i na jutro ustrzegli się nonsensów

„Pół wieku" jest pamiętnikiem racjonalisty irytującego się na wszelką metafizykę i pospolitą głupotę w społecznym i politycznym działaniu. Ale Putrament nie jest „dziesiątym sprawiedliwym", w każdym razie nie stroi się w takie szaty. Putrament jest pisarzem i działaczem tkwiącym od lat w strumieniu rzeczywistości i nie obce mu są — także osobiście — owe potknięcia i paradoksy To jakiś niezwykle sympatyczny akcent tej książki, że autor potrafi o tych sprawach pisać z dużą dozą autoironii.

Posłuchajcie: „Na ścianie wisiał kawał płótna z napisem „Każdy nasz sukces w walce o plan sześcioletni jest zarazem sukcesem w walce o pokój". Patrzyłem na ten slagon i dosłownie brała mnie wściekłość: że tak tandetną mamy propagandę. No, co znaczą te komunały? Można je odwrócić i też będzie dobrze... Wściekałem się aż do zejścia dzieci ze sceny: bo wtedy zobaczyłem koniec sloganu, mianowicie podpis, Brzmiał: Jerzy Putrament. (...) Gospodarze, chcąc mi zrobić przyjemność, poszukali czegoś, jakiejś „złotej myśli" w jakimś moim referacie, wygłoszonym na którymś plenum ZLP i znaleźli właśnie coś takiego..."

Można potraktować jako zabawną, smaczną anegdotkę — ale jest w tej historyjce coś więcej. Świadczy ona o rzetelności i obiektywizmie zapisu Putramenta a to rzecz niebagatelna w wypadku książki będącej kroniką nie najłatwiejszych lat zaludnioną żyjącymi ludźmi.

Zapis Putramenta budzi zaufanie także dlatego, że w momentach zbyt drastycznych autor przestaje operować nazwiskami — zmienia je w powieściowe pseudonimy, aby uniknąć wrażenia iż chodzi o personalne antypatie. Oczywiście tych ostatnich w książce zapewne nie brakuje — przecież pisał ją człowiek z krwi i kości, ale takt z jakim to robi Putrament także budzi zaufanie do jego ocen i opinii. Co prawda, owe powieściowe pseudonimy rozszyfrować jakoś można, ale to zabawa dla środowiska — bez tego klucza „Pół wieku" absolutnie nic nie traci — jest bowiem zapisem typowych faktów, atmosfery, temperatury i temperamentów.

I myślę, że właśnie walory książki sprawiają, że tego lata tak często pada w księgarniach pytanie o „czwarty tom Putramenta". Czytelnicy chcą się dowiedzieć o rzeczywistości lat pięćdziesiątych nie z literackiej fikcji lecz z pamiętnikarskiego zapisu człowieka, który w rzeczywistości tej tkwił i tkwi. Można tych czytelników zapewnić, że nie zawiodą się, że książka w fioletowej obwolucie jest kroniką rzetelną i pasjonującą.

JERZY WIDOK

PETER KENNEDY

Kompromitujące listy

Max Rath pracował w nocy a spał w ciągu dnia. Był kasiarzem — specjalistą od włamań do kas domowych.

Zawód to niełatwy i ryzykowny, lecz Max lubił swoją pracę. Mieszkał w drogim pensjonacie położonym w dzielnicy West Side, do której policja nie zaglądała. Płacił regularnie czynsze i wobec gospodarzy udawał, że jest nocnym szoferem ciężarówki, należącej do przedsiębiorstwa transportowego. Odpoczywał w soboty i niedziele, nie odstępując od tego zwyczaju nawet, gdy miał puste kieszenie.

Pewnego dnia jego sen został zakłócony uporczywym pukaniem do drzwi. Otworzył oczy, była godzina 11. Zapytał zniecierpliwionym głosem: — Kto tam?

— To ja, panie Rath — odpowiedział nieśmiało właściciel pensjonatu. — Przepraszam, że przeszkadzam. Ktoś do pana przyszedł.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem. Mówi, że jest pańskim przyjacielem.

— Dobrze, niech pan go tu przyśle za dziesięć minut.

Rath ubrał się szybko, włożył do kieszeni pistolet, który zwykle trzymał pod poduszką, umył się i czekał. Człowiek, który się zjawił, był wysokiego wzrostu, elegancko ubrany, miał około czterdziestu lat.

— Nazywam się Fischer — przedstawił się. — Przysyła mnie Chip Horton.

Oświadczenie było jasne, jeżeli prawdziwe. Max wskazał uprzejmie fotel przy oknie i oparł się o zamknięte drzwi. Jeżeli Fischer okaże się policjantem, to on będzie mógł uciec i zamknąć nieznajomego na klucz.

— Rozumiem — odpowiedział. — Czy Horton nic panu nie przekazał dla mnie?

— Ależ tak, zapomniałem. Wyjął z kieszeni pół srebrnego dolara i podał Maxowi. Ten zbadał go szybko i odetchnął z ulgą: w środku monety widać było zadrapanie scyzorykiem. Był to znak rozpoznawczy stosowany przez Chipa Hortona, starego złodzieja na emeryturze, który często przysyłał klientów swym przyjaciołom.

— Gdzie pan poznał Chipa? — zapytał Max.

— W więzieniu.

Kasiarz zmarszczył czoło. — Pan był w więzieniu? Dziwne, nie wygląda pan na to.

— Zdarzyło się to sześć lat temu z powodu czeku bez pokrycia. Chip i ja siedzieliśmy w jednej celi, potem straciłem go z oczu. Wczoraj wieczorem spotkaliśmy się przypadkowo nad brzegiem rzeki. Opowiedziałem mu o pewnym problemie, który mnie dręczy i podał mi pana nazwisko.

— Czy pan... pracuje?

Fischer uśmiechnął się. — Tak, ale uczciwie. Mam dobrą posadę i świetnie zarabiam. Moja przeszłość jest pogrzebana.

— Po co pan do mnie przyszedł?

— Chciałbym, aby pan wykonał dla mnie pewną pracę.

— Mówiąc innymi słowami, chce pan wynająć człowieka, który otwiera kasy.

— Przypuśćmy, że tak. Rozumiem, że jest to rzecz niezwykła...

— Mniej niezwykła, niż pan sobie wyobraża. Wiele osób zwraca się do mnie w tej sprawie. Byznesmeni, którzy nie ufają swym wspólnikom, wnukowie zainteresowani zawartością testamentu, zazdrosne kobiety w poszukiwaniu kompromitujących listów...

Fischer westchnął. — W moim przypadku chodzi właśnie o listy... Od trzech miesięcy żyję z żoną w separacji, lecz ona nie chce się zgodzić na rozwód. Szantażuje mnie pewnymi listami, które trzyma u siebie. Ta korespondencja jest przechowywana w małej kasie pancernej i tylko moja żona zna kombinację jej otwarcia. Chip mnie zapewnił, że pan jest fachowcem w tych sprawach.

— No, zależy od sposobów otwierania, czy mam użyć płomienia tlenowego, czy też dynamitu...

— Nie, nie! — krzyknął Fischer zaniepokojony. — Kasa nie może być uszkodzona. Mary domyśliłaby się, że to moja sprawa. Pan musi odkryć kombinację znaków, wyjąć listy i zamknąć kasę.

— Czy są tam jakieś papiery wartościowe?

— Trochę pieniędzy i nic więcej. Lecz tylko listy są ważne dla mnie, dla Mary i jeszcze pewnej osoby. Gdy kasa pozostanie nienaruszona, żona nie będzie wiedziała co o tym myśleć i nie przedstawi w sądzie materiałów przeciw mnie.

— Proszę mi coś powiedzieć o korespondencji. Czego dotyczy?

Fischer zmarszczył czoło. — Myślałem, że to pana nie interesuje.

— Przeciwnie. Nie przyjmuję pracy, jeżeli klient nie wyjaśni mi wszystkiego dokładnie.

— A więc dobrze... Są tam listy, które napisałem od pewnej kobiety i z których wynika, że otrzymała ode mnie poważne sumy pieniędzy... Listy wywołałyby jak najgorsze wrażenie, gdyby zostały przedstawione sądowi.

— Przypuśćmy, że uda mi się zdobyć te listy. Czy wówczas automatycznie otrzyma pan rozwód i na jakiej podstawie?

— Niezgodność charakterów. Nie kocham już Mary.

— Czy kocha pan inną?

— Nie będę zaprzeczał, tak, kocham Vilmę i mam zamiar ją poślubić.

— Czy żona kocha pana jeszcze?

— Mówi, że tak. I wie o istnieniu tej drugiej.

— Panie Fischer, proszę mi jeszcze powiedzieć, czy Vilma wie, że pan jest żonaty?

— Na pewno.

— A czy żona wie, że pan siedział w więzieniu?

— Tak. Opowiedziałem jej wszystko przed ślubem. Pobraliśmy się rok po moim zwolnieniu.

— Przepraszam za szczerość, ale nie wydaje mi się, żeby ta druga kobieta była wiele warta. Pozwoliła dawać sobie prezenty, a teraz rujnuje wasze małżeństwo.

— Panie Rath! — krzyknął Fischer. — Nie przyszedłem tu po porady! Wypraszam sobie dyskusje na temat charakteru kobiety, którą kocham! A jeżeli pan odrzuca moją ofertę...

— Nie powiedziałem, że odrzucam. Chciałbym jeszcze wiedzieć, ile mi pan zapłaci.

— Tysiąc dolarów.

Rath rozmyślał przez chwilę. — Czy nie ma żadnej możliwości, żebyście się pogodzili, pan i żona?

— Nie ma żadnej.

— A więc przyjmuję tę robotę. Ten tysiąc dolarów jest mi diabelnie potrzebny. W jaki sposób wejdę do mieszkania pańskiej żony?

— Wejdzie pan do domu tylnym wejściem. Będę panu towarzyszył. Mam klucze, nie narobimy hałasu. Mary śpi na pierwszym piętrze, a kasa znajduje się na parterze w saloniku. Listy są w żółtej kopercie.

Rath bardzo niechętnie zakradał się do mieszkań samotnych kobiet, lecz ze względu na obecność męża zgodził się i następnej nocy wślizgnął się do salonu. Fischer zaprowadził go do kasy pancernej.

Max rozłożył narzędzia. — A teraz niech pan idzie do hallu i zostawi mnie samego. Chcę mieć pewność, że nikt nam nie przeszkodzi.

Fischer wzruszył ramionami i przeniósł się do hallu.

Kasa była przestarzałym modelem i Max mógłby ją otworzyć przy pomocy wykałaczki. Zaczął spokojnie manipulować przy tarczy, spoglądając często w stronę hallu. Po kilku minutach przyciągnął krzesło do drzwi i usiadł wygodnie, stukając od czasu do czasu narzędziami, aby dać do zrozumienia Fischerowi, że pracuje. Tak przeszło dwadzieścia minut. Gdy zobaczył, że zegar wskazuje drugą godzinę, wyjął z kieszeni żółtą kopertę i położył ją na stole. Potem uderzył ręką w kasę, jakby ją zamykał i wyszedł do hallu ze śrubokrętem w ręce.

— Zrobione — szepnął. — Proszę wejść.

Fischer wbiegł do salonu i drżącymi rękoma chwycił żółtą kopertę. Wyjął jej zawartość. Max obserwował jak badał listy z wyrazem zdumienia. Nie dziwił się temu.

— Ależ to nie są te listy, których szukałem! — jęknął Fischer. — Co za diabeł... Proszę otworzyć kasę, ja sam muszę zobaczyć!

— To niemożliwe — stwierdził Max. — Teraz jest dobrze zamknięta, potrzebowałbym półtorej godziny, aby wykonać jeszcze raz tę pracę.

Listy są adresowane do Vilmy Caldwell, to prawda... ale ja ich nie pisałem!

— Dlaczego pan ich nie przejrzy dokładnie? — podpowiedział Rath. — Może znajdzie się odpowiedź, której pan szuka.

Fischer usiadł przy stole. Zapalił małą lampkę, rozłożył listy i zaczął czytać jeden po drugim. Twarz mu się zmieniła, poczerwieniał, zacisnął pięści. Nie podniósł głowy, dopóki nie przeczytał ostatniego listu. Potem zamyślił się.

Max nie przeszkadzał mu w medytacjach. Zwrócił uwagę na hall i schody, które prowadziły na piętro. Była godzina 2,30, gdy pojawiła się tam pani Fischer. Cicho zeszła ze schodów i stanąwszy w progu salonu przekręciła kontakt elektryczny.

— Witam panią! — krzyknął kasiarz z radością. — Mąż pani jest tutaj. A ja chyba lepiej, żebym sobie już poszedł...

— Proszę zaczekać! — rozkazała kobieta.

Fischer wstał zmieszany i rzucił na stół list, który trzymał w ręce. — Mary — wyszeptał. Otarł pot z czoła, usiłował zebrać myśli. — Mary, jakim byłem głupcem!

— Wybaczam ci, mój drogi. Cieszę się, że zorientowałeś się we wszystkim.

Fischer zwrócił się od Ratha. — Czy może mi pan wyjaśnić, jak do tego doszło?

Max spojrzał na kobietę, oboje uśmiechnęli się.

— Nie wiem....

— Pan Rath po rozmowie z tobą — wyjaśniała Mary — przyszedł do mnie, aby dowiedzieć się prawdy. Doszliśmy do przekonania, że ta kobieta to intrygantka. Jednak potrzebne były dowody, aby ciebie przekonać.

— Jak zdobyliście te listy?

— Jestem przecież kasiarzem — przypomniał Max. — Wykonałem pewną robótkę bezpłatnie dla was obojga. W przypadku pani Mary czułem, że coś tu nie jest w porządku, dlatego opowiedziałem jej całą historię. Żona pańska wyraziła przekonanie, że Vilma Caldwell zabiega o pana jedynie z powodu pieniędzy. Prosiła mnie, aby jej pomóc w znalezieniu dowodów, które by potwierdziły te podejrzenia, lecz dodała, że jeśli nie znajdę niczego, co by obciążało Vilmę, to zgodzi się na rozwód. Wszedłem do domu Wilmy Caldwell i znalazłem prawdziwą kolekcję męskich listów adresowanych do niej. Wziąłem kilkanaście z nich, to te właśnie i...

— Czy nie słyszała, jak pan przetrząsał jej papiery?

— Była w sypialni w jakimś towarzystwie.

Fischer zaczerwienił się, spojrzał na żonę i zwrócił się do Ratha: — Panu zawdzięczam, że nie popełniłem największego błędu mego życia.

— I ja dziękuję panu — rzekła Mary. — Czy nie przyszedłby pan jutro do nas na obiad? Zrobię tort z poziomkami.

— Ależ to mój przysmak. Jak pani to odgadła?

Oprac. A. S.

Lewym okiem

ZAJĘCZA DYWERSJA

Zimę mieliśmy ciężką i długą. Zające nie miały co jeść, dobierały się do sadów owocowych i już zdołano — nie wiem, jak to się robi — wyliczyć, że straty, wynikłe z tej zajęczej inwazji, sięgają 530 milionów złotych! Ponieważ wszystkie zastrzelone w ciągu roku, bądź też schwytane żywcem z przeznaczeniem na eksport, zające warte są podobno tylko 175 milionów, wniosek jest jasny: zające nam się nie opłacają. Są deficytowe, tak jak teatry, opery, książki, tak jak połowa gastronomii, trzy czwarte handlu, hotele, obozy PTTK, domy mieszkalne i nie wiem co jeszcze. Zające to żaden interes, nierentowna inwestycja.

Tuż przed tegorocznym opolskim festiwalem piosenki, po którym wszyscy mamy kaca, czytałem gdzieś, że Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu skróciła sesję egzaminacyjną o kilka dni, żeby zwolnić pomieszczenia na ewentualne kwatery dla gości festiwalowych. Co tam studia pedagogiczne — tu się śpiewa! Piosenki są rentowne, na piosenkach się zarabia. Natomiast do studenta trzeba niemało dopłacić, prosić go, żeby się uczył, dbać żeby nie popadł w kompleksy, po czym i tak będzie pracował w jakim kolwiek biurze jako referent, a nie na wsi jako nauczyciel.

Dzieci w kilkudziesięciu szkołach poznańskich kończą rok szkolny już w początkach czerwca, żeby zwolnić pomieszczenia na kwatery dla gości Międzynarodowych Targów Poznańskich. Dzięki Targom dzieci poznańskie mają wakacje o trzy tygodnie dłuższe niż w całej reszcie kraju. Nie wiem, co robią przez ten czas nauczyciele tych szkół, może mają dodatkowy urlop. Międzynarodowe Targi to wielka i piękna impreza, co do opłacalności na pewno dokładnie przeanalizowana przez fachowców. Ciekawy jestem tylko, czy dzieci w szkołach Lipska też mają wakacje dodatkowe w marcu i wrześniu, ze względu na Leipziger Messe? Czy takie wakacje i urlopy wkalkulowuje się w koszty targów, czy może w zyski targów, bo przecież kwatery w szkolnych klasach są odpłatne? A jeśli odpłatność jest zachęcająca, to może w ogóle przestawić cały interes ze szkolnictwa na hotelarstwo?

Jak się bardzo głęboko zastanowić, to właściwie nic się nie opłaci, a z każdego podjętego działania mogą wyniknąć skutki, o których nikomu się nie śniło. Jest jakaś sekta w Indiach, która właśnie z tego powodu głosi konieczność wstrzymania się od jakiegokolwiek działania. Po co mącić odwieczny porządek Wszechrzeczy? Może ta sekta ma rację?

Powie na przykład ktoś, że gdyby przez cały rok nie padał w jakiejś okolicy deszcz, to straty w zbiorach byłyby takie a takie. To prawda, ale za to nie trzeba by wcale kryć domów dachami, ani kupować parasoli, ani budować skomplikowanych urządzeń miejskich odprowadzających deszczówkę z ulic, ani produkować nieprzemakalnych płaszczy — czy to nie są miliardowe oszczędności? Czy wobec tego deszcz się opłaca, czy nie?

Do żab się nie strzela, ani się ich nie chwyta żywcem, jak zające. Z żab nie ma pozornie pożytku. Ale też do żab się nie dopłaca, ani grosza. Żaby należy popierać. Tam gdzie odwodniono łąki i żaby straciły możność istnienia, bociany przestawiły się na porywanie kurcząt i indyczą. Wyliczono już straty, jakie z tego tytułu ponieśli gospodarze w odwodnionych okolicach. Strat tych można było uniknąć, nie odwadniając łąk. Można ich też uniknąć likwidując radykalnie bociany. Jeśli by jednak z tego tytułu spadł wskaźnik przyrostu naturalnego ludności odwodnionych okolic, to kto by śpiewał piosenki w Opolu, kto by liczył zające, kto — korzystał z dodatkowych poznańskich wakacji?

Niewykluczone, że podrzucenie zającom zimą trochę siana czy buraczanych liści kosztowałoby znacznie mniej niż 175 milionów, i od razu wszystko wyglądałoby inaczej. Ale to by było rozwiązanie najtrudniejsze. Lepiej wytruć zające i skrócić egzaminy w Wyższej Szkole Pedagogicznej.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17 Zam. 1627. H-4.